Nr. 23. Warszawa, dnia 24 Maja (5 Czerwca) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

JESZCZE CZAS.

Ślimaczenie się układów o pokój między Turcyą a Grecyą, prześcignęło marzenia najbujniejszej nawet imaginacyi — tureckiej. Nie spodziewał się ani Padyszach, ani jego ministrowie, żeby we dwa tygodnie po zakończeniu wojny Europa mogła jeszcze znajdować się w konieczności rozbrajania ich oporu nawet przeciw zawieszeniu broni, którego do tej chwili urzędownie z terminem stałym jeszcze niema, choć od dwóch tygodni krew już się więcej nie leje. Powiadamy: „ich,“ a nie „Greków“ oporu, jakkolwiek zewsząd trąbią i oznajmiają, że Grecya nie chce się poddać warunkowi kosztów wojennych i nie chce słyszeć o sprostowaniu granicy. Gdyby nie nadmierne żądania tureckie: 10 milionów funtów, kiedy rzeczywistych kosztów nie zdołano wyliczyć nawet 2 milionów; gdyby nie rozbijanie się Turków po Tessali wyglądające tak, jak gdyby z niej już nigdy ustąpić nie chcieli — nie mielibyśmy istotnie tego widoku zadziwiającego siłą niemocy i niemocą siły, na jaki patrzymy.

Cała skoncertowana Europa nic na tureckie *Non possumus* poradzić nie zdoła. Całe chrześciaństwo, mogące wysłać w pierwszy ogień 6 milionów żołnierzy i 10,000 armat — musi sobie otwierać uprzejmemi prośbami podwoje zmiłowania tureckiego nad Grecyą. Cała cywilizacya Europy zbrojna, rozumna i porządna, wyczekuje słowa, mającego wyjść z ogniska niemocy, nierozumu i nieładu — jakby słowa wyroczni. W koncercie państw europejskich odzywały się już wszystkie dźwięki i akordy; tylko nie rozległ się nigdy głos siły, groźby i przymusu — jedynych środków, zdolnych przemówić do zwycięzkiej Turcyi skutecznie. Nie zdołano zgodzić się nawet na to, że chrześciańska Europa nie wyda chrześcian napowrót w moc turecką i przy druzgocących nawet tryumfach Turkom nie dostanie się z Tessalii nic więcej prócz wąwozów, potrzebnych dla zabezpieczenia własności w r. 1881 przyznanej. Mając do czynienia z krajem biednym, politycznie i ekonomicznie jeszcze nierozwiniętym, zaniedbano z góry oznaczyć *maximum* kontrybucyi, jakiej zwycięzca od zwyciężonego będzie mógł wymagać.

Gdyby sułtan, wyzwany przez Greków i odpierający tylko napaść, zgóry wiedział, że tryumf, choćby najświetniejszy, nie da mu ani piędzi ziemi greckiej, ani drachmy nad to, co Grecya, mająca już tylu wierzycieli na karku, materyalnie wycisnąć z siebie może — poprzestałby na opanowaniu Laryssy i nie szedłby na południe dalej miażdżyć zmiażdżonych już Greków. Europa, chwytając się roli pedagoga, mogła mu wprawdzie pozwolić na skrajanie obcisłejszej kurty nieroztropnym a nieposłusznym; ale ze stanowiska interesów politycznych granice zwycięztw żądań i pożądań tureckich powinny były być dla Europy odrazu niewątpliwe. Kiedy oręż robił swoje na widowni wojny, dyplomacya miała obowiązek wystąpić z gotową już robotą zawieszenia broni i traktatu pokoju i obu ją stronom narzucić. Pobita Grecya mogłaby tylko udawać, że pokoju, który ją ocala, nie chce; z łaski tylko Europy żyjąca Turcya nadaremnie-by odgrażała się swemi prawami zwycięzcy. Głos prawdziwie silny przypomniał-by jej, że jest na terytoryum i w cywilizacyi europejskiej — intruzem.

Taką drogą nie poszła dyplomacya, pomimo sławionego współdziałania swego. Rzeczywiście było to i jest przeciw-działanie: ścierają się dwa, nawet trzy, prądy. Zgoda w sprawie turecko-greckiej jest wypadkową niezgód, wspólny interes dyplomacyi europejskiej w tej sprawie wypadkową sprzecznych interesów. Niebezpieczeństwo wojny między Turcyą a Grecyą wydawało się zawsze mniejszem od niebezpieczeństwa wojny między samemi mocarstwami opiekującemi się jedną i drugą, i do pewnego stopnia rozprawa orężna tessalska zażegnała inną, do którejby przyjść mogło, gdyby pragnień swoich i zamysłów nie umiano na wodzy utrzymać. Ta umiejętność powściągająca właśnie nakazywała robić jaknajmniej i cała też polityka opiekuńcza Europy, którą prowadzili i prowadzą jeszcze „admirałowie“ na Krecie, a dyplomaci europejscy w Stambule, bezsilność swoją, ślamazarność i bezład czerpie z tej sztuki robienia jaknajmniej i nie pozwalania innym na robienie więcej. Oczywiście, że utwory takiego artyzmu o nagrody ubiegać się nie mogą, ani własną doskonałością, ani energią swego twórcy: koncertu europejskiego. Dzięki takiemu kunsztowi wstrzemięźliwości dziś jeszcze układać się potrzeba o zawieszenie broni, szukać pokoju, który leżał zgóry już jak na dłoni, i namyślać się nad tem: co będzie, gdy Turcy przekroczą Termopyle?

Tydzień polityczny. Turcya we czwartek dopiero gotowa była rozpocząć układy o pokój pod skrzydłami mocarstw. Do ukończenia ich żądała dwutygodniowego zawieszenia broni z możnością przedłużenia terminu. Dotychczasowa przerwa w wojnie jest bezterminową i nie zabezpieczoną przez umowę na piśmie. Padyszach chce, aby się Grecy podpisali w głównej kwaterze tureckiej: można w nim tę miłość własną uszanować. Co innego z układami

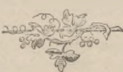
o pokój: te powinny być toczone na terytoryum nienawiedzonem przez wojnę, a najlepiej w Konstantynopolu, gdzie dyplomacya, gdyby chciała, mogłaby ich biegu należytego dopilnować.

Na Krecie powtarzają się ciągłe napaści, rzezie, rabunki, pożogi, w słabszem natężeniu, niż od lutego do kwietnia, ale jednakże są. Mocarstwa ciągle przygotowują statut, a kandydatura ks. Franciszka Józefa Battenberskiego na gubernatora u dziennikarzy przynajmniej wciąż stoi i nabrała większej jeszcze mocy przez ożenienie się jego z księżniczką czarnogórską Anną.

W Grecyi rozstrój wewnętrzny w umysłach i instytucyach politycznych nie ustaje. Rallis lada chwila ustąpi. Dwór, wystawiony na pociski opinii, szukającej kozła ofiarnego w księciu następcu tronu — trzyma się tylko bezwładnością swoją. Stawkę przegrał król Jerzy większą, niż z początku przewidzieć było można.

W Wiedniu po wstrzymaniu obrad Izby deputowanych d. 28 z. m. posiedzenie poniedziałkowe przyniosło nowe fale i wichry, nową burzę sejmową. Wtorek podobny był do poniedziałku. Przekonała się większość, nazwana przez jednego z zagorzałych Niemców „łotrami,“ iż cierpliwością przetrzymać ich nie zdoła. P. Badeni wyjednał u cesarza zamknięcie posiedzeń, a d. 2 b. m. krótkiemi słowy go dopełnił. Senior klubów prawicy, p. Jaworski, odczytał deklaracyę, utkaną z zasad adresu Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, którego uchwalenia wyrzec się musiano. Jest to akt wybitny. Nowe posiedzenia zaczną się we wrześniu. W przerwie będzie rząd pobudzał i Czechów i Niemców do zgody w łonie sejmu praskiego i zechce może powtórzyć próbę z r. 1890, która już raz zamiast pokoju dała sześcioletnią już wojnę. P. Badeni pewnym jest utrzymania się; nie myśli też cofać swych rozporządzeń: owszem, d. 17 maja minister sprawiedliwości, Gleispach, wydał przepisy, odwołujące w części regulamin namiestniczy z d. 8 t. m., w którym p Coudenhove usiłował ograniczyć doniosłość ustępstw z d. 5 kwietnia.

Izba poselska sejmu pruskiego uchwaliła obciętą nowelę do prawa o stowarzyszeniach — głosami stronnictw zachowawczych i nacyonal - liberałów. Wolnomyślni, centrum i Polacy, którzy obcięcia dokonali, zdradzeni przez nacyonal-liberałów, głosowali przeciwko własnemu swemu dziełu. Utrzymało się rozporządzenie, wyłączające nieletnich i drugie, pozwalające łączyć się w większe związki.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRAWODAWSTWO I INICYATYWA SPOŁECZNA.

Bardzo ważny krok zrobiło prawodawstwo w zakresie rozwoju i uprzystępnienia ludności wykształcenia handlowego. Już rok temu władza zatwierdziła ustawę normalną dla szkół handlowych, która niemal do gruntu zmienia dotychczasowy system nauczania w tej dziedzinie. Na zasadzie nowych przepisów szkoły tego typu mogą być zakładane z postanowienia ministeryum skarbu, podlegać zaś muszą nadzorowi departamentu handlu i przemysłu tego ministeryum. Ustawa ta między innemi pozwala zawiązywać stowarzyszenia, których zadaniem jest właśnie uprzystępnienie wiedzy handlowej masom ludności.

W chwili, gdy u nas zaczyna się budzić poczucie potrzeby takiego ukształcenia pod naciskiem konieczności życia, gdy coraz więcej powstaje szkół i kursów handlowych nietylko dla mężczyzn, lecz i dla kobiet, warto przyjrzeć się warunkom prawnym i społecznym tego rodzaju związków. Dotychczas, o ile wiemy, z nowej ustawy skorzystały tylko Petersburg (dwa stowarzyszenia) i Kijów (jedno). Mają one na celu krzewienie umiejętności handlowych śród osób, pracujących we wszelkich przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych, oraz śród młodzieży, sposobiącej się do tego zawodu. W zakres programu stowarzyszenia wchodzi: otwieranie szkół handlowych, urządzanie odczytów z dziedziny odpowiedniej, zakładanie bibliotek tudzież muzeów prób i wzorów.

Co do szkół, ustawa określa trzy typy: 1) klasy handlowe z wykładami w godzinach rannych lub wieczornych dla osób, pracujących w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych 2) Kursy przedmiotów pojedynczych dla osób płci obojej, pragnących nabyć odpowiednią sumę wiedzy fachowej. 3) Szkoły handlowe męzkie i żeńskie, według typu, określonego przez ustawę z r. z.

Stowarzyszenie może otwierać szkoły i kursy na mocy pozwolenia ministeryum skarbu. Na urządzanie zaś odczytów wystarcza pozwolenie departamentu handlu i rękodzieł.

Stowarzyszenie składa się z członków honorowych i rzeczywistych. Do pierwszych mają należeć osoby, które ofiarowały znaczne sumy na rzecz towarzystwa lub też w inny sposób przyczyniły się do jego rozwoju. Są oni zatwierdzani przez ministra skarbu. Członkami rzeczywistymi mogą być poddani rosyjscy i zagraniczni, właściciele zakładów handlowych i przemysłowych, kierownicy i współpracownicy tych przedsiębiorstw. Po za tem każdy, kto sobie tylko życzy. Składka roczna wynosi rs. 25, lub też jednorazowa rs. 500.

W skład władzy towarzystwa wchodzi: zebranie ogólne i komitet, złożony z prezesa, wice-prezesa i dwunastu członków, wybieranych na lat trzy przez zebranie ogólne z rzeczywistych i honorowych. Wszyscy członkowie mają prawo głosu w kwestyach, poruszanych na zebraniach ogólnych i zwyczajnych, zwoływanych najmniej dwa razy do roku i nadzwyczajnych — w wypadkach nagłych i ważnych. Najważniejsze obowiązki ciężą na komitecie. Powinien on ciągle i usilnie starać się o to, ażeby stowarzyszenie spełniało najważniejsze swoje zadanie, tj. szerzyło oświatę w zakresie handlowym śród sfer, które na tem polu swój byt opierać mogą. Komitet więc obowiązany jest opracowywać ustawy i plany zakładów naukowych, które mają być stworzone na mocy uchwały zebrania ogólnego. (Ustawy te i plany muszą być przedstawione p. ministrowi skarbu do zatwierdzenia). Nie na

---

5)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

Rozrywki aresztantów

Zwrotnik. Wilgotno i duszno. Ze spodu okrętu wystają ponad pokładem ogromne rękawa z płótna żaglowego, z otworami zwróconymi na przeciw wiatru.

Jakby jakieś dziwotwory usiadły tam, wyciągnęły olbrzymie szyje i chciwie piją powietrze.

Pod pokładem spiekota.

Wielu siedzi na tapczanach bez koszul.

— Wielmożny panie, w oddziale trzecim popełniono kradzież cukru.

— Rozpoczęły się kradzieże! — macha ręką oficer starszy i każe zrobić rewizyę.

Kawałek cukru — to jednostka monetarna pod pokładem.

„Cukier — to pieniądz,“ mógłby powiedzieć pasażer na spodzie okrętu, jak Anglik mówi: „Czas — to pieniądz.“

Wszystkie gry odbywają się według waluty cukrowej.

Zgrany zostaje bez cukru i musi tylko patrzeć pożądliwie, jak inni rozkoszują się, gryząc go i popijając herbatą.

Powtarza się to trzy razy dziennie.

Dwa dni aresztant jeszcze może wytrzymać; na trzeci popełnia kradzież u którego z towarzyszów.

Ze spodu okrętu wychodzi skarga.

Zaczęły się kradzieże cukru — to najlepszy dowód, że pod pokładem gra jest w całej pełni.

Są tam własnego wyrobu karty, domino i kostki.

Kostki wyrabiane z kości znajdowanych w zupie. To jest przedni gatunek. Zwyczajne — z kawałków mydła lub chleba.

Gdy się zjawia straż, aresztant zgniata palcami kawałeczek mydła lub chleba:

— Żadnych gier niema!

„Domino“ jest wyrzynane z kawałków kartonu od pudołek z bibułką papierosową.

Karty pochodzą również z tego materyału. Figury zastępują znaki umówione. Ponieważ pod pokładem bywają ludzie różnych profesyj, więc czasem są i tacy, którzy umieją wybornie rysować króle, damy i walety.

Piki i trefle, robione są atramentem; kery i kara — krwią...

Proszę wyobrazić, ile na to krwi ludzkiej poszło.

„Jak drogi cukier i jak tania krew ludzka!“ — można zawołać, parafrazując słowa Tomasza Hooda.

* * *

W „gabinecie“ pełno ludzi. Jest on pokojem do palenia i klubem, zakładem fryzyerskim, ślusarnią i drukarnią.

W kącie jakiś włóczęga goli głowę człowiekowi wschodniemu.

Zamiast brzytwy kawałeczek szkła, oprawionego w drzewo.

Aresztanci doświadczeni ze zdumiewającą wprawą używają tego narzędzia. Golą bez skaleczenia.

W innym kącie warsztat ślusarski

— Ojcze, czy można z tego zrobić nożyk? — pyta nowicyusz.

— A czemużby nie? Nóż ze wszystkiego da się zrobić! — odpowiada ślusarz i toczy na podłodze kaflowej skrawki blachy, żelaza, do ostrości lancetu.

Aresztanci mają jakiś niezwykły pociąg do noży.

Chętnie odmówią sobie wszystkiego, ale nóż muszą mieć koniecznie.

Nóż, to ich marzenie.

— Ojcze, jakby tu można zdobyć nożyk.

— Masz czajnik blaszany?

— Mam!

tem wszakże kończy się główna działalność komitetu. Musi on kierować tymi zakładami w charakterze rady opiekuńczej.

Jak widzimy, stowarzyszenia takie mogą odegrać niezmiernie ważną rolę w społeczeństwie. Pomimo jednak iż od roku służy nam prawo do rozpoczęcia i rozszerzenia tego rodzaju działalności, pomimo że w dziedzinie handlowej brak ludzi odpowiednio uzdolnionych gwałtownie daje się odczuwać, że najwięcej na tem cierpią ludzie bezpośrednio interesowani — nikt przecież dotąd nie pomyślał o zawiązaniu takiego stowarzyszenia u nas: ani sekcya handlowa Towarzystwa przemysłu i handlu, ani komitet giełdowy, ani Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych. Wszakże stowarzyszenie takie nie jest zadaniem filantropijnem, nie wymaga ofiar bezzwrotnych. Przeciwnie — za granicą dawno już zrozumiano, że pomoc niesiona ze strony sfer przemysłowo-handlowych około szerzenia i uprzystępniania nauki fachowej, jest tylko środkiem rozwoju przemysłu i handlu. Zrozumieli to i przemysłowcy z prowincyj południowych i południowo-zachodnich, którzy skwapliwie złożyli dość znaczne sumy na stworzenie Instytutu politechnicznego w Kijowie. Nie zrozumieli dotąd tylko nasi kupcy, fabrykanci i inni przedsiębiorcy. Narzekają oni bezustannie na brak fachowców, głoszą nawet, że gotowi byliby dawać im wysokie uposażenie; dotychczas jeszcze sprowadzają cudzoziemców, albo przyjmując krajowców, niedostatecznie obeznanych z fachem, narażają się na zawód i straty. Chcieliby, żeby fachowcy wytworzyli się jakimś cudem niepojętym i dali pracę produkcyjną, przynoszącą znaczne zyski. Nakład jednorazowy lub stałe składki roczne, których wymaga Towarzystwo szerzenia umiejętności handlowych, uważają jako haracz. Jest to wymowne świadectwo naszej niedojrzałości ekonomicznej i społecznej.

Warto, ażeby ktoś tę sprawę umiejętnie i przekonywająco zarysował np. w Towarzystwie przemysłu i handlu. Stowarzyszenie uprzystępniania umiejętności handlowych miałoby także ważne znaczenie społeczne. Przedewszystkiem zogniskowałoby ono ludzi wybornie obeznanych z potrzebami i warunkami kraju, przyczyniłoby się do zwiększenia liczby nauczycieli odpowiednich, zdolnych, a z czasem zapewniłoby im istnienie na przyszłość—po utracie zdolności do pracy. Przytem stowarzyszenie takie znalazłoby już u nas gotową znaczną część pola do czynu: istniejące już dziś szkoły i kursy handlowe, które wymagają opieki.

Warunkiem powstania stowarzyszenia jest 30 uczestników. Kraj nasz chyba mógłby się zdobyć na tak skromną liczbę ludzi, rozumiejących pożytek własny i społeczny.

Z GALICYI.

Równouprawnienie językowe w Czechach i ustępstwa. — Walka w parlamencie wiedeńskim. — Starcie się centralizmu i federacyi. — Dążenie bezwiedne. — Wniosek Schoenerera. — Do czego on dąży? — Dźwiganie finansów Austryi przez Bilińskiego. — Podwyższenie ceł na cukier i naftę. — Kartele tolerowane. — Kto, kogo i na co my ochraniamy?

Ustawa o równouprawnieniu językowem w Czechach, wydana przez ministeryum Kaz. hr. Badeniego, wywołało burzę, która połączona z orkanem węgierskim, dotychczas jeszcze szaleje w parlamencie austryackim. Nie pierwsza to i nie ostatnia z pewnością. Co do zatargu węgiersko-austryackiego, który wynikł skutkiem wymagań rządu, ażeby Węgry wzięły większy udział finansowy, niż dotychczas, w budżecie państwowym, mówić teraz nie będę. Sprawa nie jest jeszcze wyjaśnioną i zakończoną. Właśnie niedawno powstał projekt utworzenia tak zwanego provisorium, czyli załatwienia tymczasowego. Przyjdzie na nią zatem kolej. Nie mogę natomiast pominąć równouprawnienia językowego w Czechach, gdyż wywołało ono szereg faktów bardzo znamiennych i doniosłych.

Dotknęło ono zasadniczych prawno-państwowych podstaw monarchii austryo-węgierskiej, nie dlatego bynajmniej, ażeby zasada równouprawnienia językowego była w niej czemś nowem i nieznanem, lecz że cios przez Badeniego wymierzony uderzył w ostatni i najsilniejszy wał niemczyzny — w Czechy i Morawy, gdzie ludność i własność ziemska niemiecka dosięgają w niektórych okolicach 50%. Z tych tedy Niemców, rozsiedlonych na ziemiach słowiańskich, tworzyły się zwarte szeregi — jak to zawsze w takich razach bywa—niemczyciele Słowian, a teraz obrońców jakoby zagrożonej kultury niemieckiej. Nie przypuszczam, ażeby Badeni z całą świadomością pragnął zniszczyć to schronisko germanizmu, gdyż żaden z nowoczesnych polityków i ministrów nie wystąpił nigdy jasno z potrzebą przekształcenia Austryi na państwo federacyjno słowiańskie. Przekształcenie takie wszakże samą siłą rzeczy odbywało się i dziś postępuje tylko szybszym krokiem. Niemcy spostrzegli już, że przewaga ich państwowa i ustrój centralistyczny Austryi rozsypują się w gruzy i zorganizowali się do obrony.

Dziś w wiedeńskiej Radzie państwa wre walka tak zażarta, że coś podobnego widywano tylko w parlamencie francuskim. Jej gwałtowność i brutalność jest następstwem przepełnienia Izby poselskiej ludźmi — powiedzmy śmiało — coraz gorszego gatunku. Odkąd wyborcy i wybierani poznali się dobrze na maszynie elekcyjnej, odkąd nauczono się agitować, na arenę zaczęli wychodzić nie najlepsi, lecz najzręczniejsi, tacy, którzy potrafili językiem tłumów do tłumu przemawiać, którzy psychologię jego poznali, a przedewszystkiem, nie szczędząc krytyki i nagany, umieli się mu pochlebiać. Naturalnie masa wybierała swoich ulubieńców, którzy stali na jej poziomie umysłowym i moralnym, ale natomiast nie posiadali nietylko politycznego, lecz często żadnego wykształcenia. Ambicye bardzo malutkie i krzykactwo, podszyte często względami osobistymi, brały górę nad pracą spokojną i rozważną. W ten sposób wszedł do Izby w dużej domieszce pierwiastek awanturniczy, złożony z adwokatów bez klienteli, prawników bez stałego zajęcia, doktorów medycyny niemających pacyentów, księży, którym praca wikarego mało przynosiła dochodu, zięciów bogatych firm handlowych, którzy tęsknili do Ronachera, świata wiedeńskiego, a nawet półświatka, nauczycieli wiejskich, któ-

---

— Odłam szyjkę, albo rączkę, zrobię ci brzytwę.

Kawałeczek szkła, gwóźdź zardzewiały, odłamek blachy — to jest bogactwo, majątek, przedmiot, zawiści, kupna, sprzedaży, spekulacyi, kradzieży. Z tego wszystkiego można nóż zrobić.

W „gabinecie" odbywa się wyrób kart. Specyalista w tym zakresie ma łyżkę, na której końcu przytwierdzona jest z chleba forma oczek.

No, bracie, teraz będziemy kara drukowali. Nakleja na łyżkę oczko karowe. Bezpały, zbliż się.

— Ojcze, czy nie bolesno to, nie będzie się jątrzyć?

— Co się ma jątrzyć! Przecież nie całą talię będziemy z ciebie drukowali. Jeden tylko kolor.

— Ojcze, boję się.

— Nie bój się, głupi. Będziesz miał dochód. Za każdą grę kawałek cukru. Pomyśl.

— No, cóż zrobić; sami, ojcze, wiecie lepiej.

Parobczak wyciąga rękę.

Drukarz robi małe nacięcie i krwią wypływającą drukuje karty.

— Patrzcie no, nie płynie więcej. Pozwól, jeszcze trochę natnę. Małe zrobiłem nacięcie.

— Ojcze...

— Czego tam „ojcze?" Tylko na jedną dziesiątkę trzeba.

Przy każdej talii trzech gospodarzy: drukarz i dwu, którzy dali swojej krwi na zrobienie kart.

Za każdą grę otrzymują po kawałku cukru. Przy podziale daje to po pięć kawałków dziennie, które parobczak przegrywa w te samo karty. Naturalnie wszystkie karty są znaczone, szulerzy zaś pod pokładem nie ustępują klubowym.

Oto, co jest krew i cukier.

XIII.

Port-Said.

Niebo jasne, błękitne. Jaskrawy blask słońca. Tłum pstry, malowniczy na brzegu. Masa powietrza, światła, barw.

Niewątpliwie Port-Said to najbardziej malownicze na świecie roty aresztanckie.

Zdala wszystko goreje, błyszczy, migoce na słońcu; zblizka...

Port-Said jest punktem centralnym lądu wielkiego.

Europa przysłała tu ludzi, których celem jest zdobyć majątek w jakikolwiek sposób.

Azya dostarczyła Port-Saidowi Turków niewolniczych, wyznających jedną wiarę: „bakszisz," modlących się do jednego boga: „bakszisz," podlegających jednemu prawu: „bakszisz."

Są to ludzie, z których twarzy wygląda napis:

— Gotów do usług.

Afryka dała Port-Saidowi fellachów.

* * *

Pierwszą wizytę złożyliśmy Europie.

Wielki skład, w którym można znaleźć wszystko: piwo, jedwab, pomarańcze i maszyny rolnicze.

Za kontuarem z policzkami obwisłymi niemłody Europejczyk, z twarzą przypominającą buldoga. Uśmiechając się, pokazuje żółte kły dzika.

— Prawdopodobnie w Port-Saidzie jest bardzo nudno.

— Tak nie jest. Znajdujemy sobie rozrywki.

Z uśmiechu, przebiegającego po twarzy Europejczyka, można się domyśleć, co rozumie pod nazwą „rozrywki" gentleman o twarzy buldoga.

„Praca" — obdzierać ze skóry tubylców. „Rozrywka" — kupować za pieniądze ich żony i córki.

— O, effendi bardzo poważny pan! — z szacunkiem mówi o nim Turek-przewodnik — effendi lubi pędzić życie wesołe. On często bywa w Suezie i zawsze przywozi stamtąd coś dobrego. Effendi ma duży harem.

rych jedyną zaletą był — basso profundo, a nawet lichych dziennikarzy. Bez przesady można powiedzieć, że z takich żywiołów składa się większość parlamentu wiedeńskiego. Rej wodzą adwokaci i prawnicy, którzy przez całe życie, nie wyłączając szkoły, uczyli się obwiniać albo bronić; czyż można się dziwić, że tę metodę stosują w Izbie? Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem i w parlamencie trąci.

Wobec takiego składu nie można dziwić się awanturom, tem bardziej, jeżeli do walki sprzęgły się tak różnorodne i sprzeczne żywioły, jak to się stało teraz, gdy socyaliści stanęli w jednym szeregu z centralistami.

Panowie Kaiser, Wolf i Funke wspólnie z socyalistami postawili wniosek oskarżenia gabinetu Badeniego. Ze strony Niemców było to zrozumiało— oni bronili centralizmu i hegemonii swojej, a socyalistom chodziło o ucisk przy wyborach. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś do wspólnej walki z tygrysem sprzągł wilka i cielę.

Gdyby można jednem słowem scharakteryzować teraźniejsze utarczki parlamentarne, powiedziałbym, że jest to starcie się dwóch pierwiastków państwowych: centralizmu i federacyi, dwóch haseł, których nikt nie wypowiada, ale o które wszyscy walczą. Grunt do boju przygotował się oddawna. Gabinet Taaffego najwięcej może pracował nad równouprawnieniem narodowości, hołdując jednocześnie centralizmowi niemieckiemu, który przytulisko swoje znalazł, jak przystało, w Wiedniu. Była to ścieżka między dwiema przepaściami. Z balansem w ręku szedł Taaffe, za nim szli inni — ale w takich warunkach ktoś zawsze kark skręcić musi. Teraz przyszła króska na Matyska. Pokazało się, że równouprawnienie i autonomia są pojęciem elastycznem, dadzą się rozciągać aż do tego punktu, kiedy związek z państwem staje się ledwie dostrzegalnym i przybiera nazwę bądź unii osobistej, bądź federacyi państw pod wspólnem godłem. Dążenie takie w Austryi, przy mnóstwie narodowości, jest zupełnie logiczne. Nie wchodzę w to, czy z punktu państwowego jest taki stan rzeczy dobry lub zły, ale ku federacyi narodów dążymy.

Wobec tego niezaprzeczonego faktu dawniejsze stronnictwo centralistyczne stoi nietylko odosobnione, ale bezsilne; równouprawnienie językowe w Czechach i na Morawie jest dla niego ciosem formalnym, bo hegemonii niemieckiej w urzędzie i szkole podcina nogi. Jakkolwiek śród postępowców galicyjskich należy do dobrego tonu ganić Badeniego, odezwanie się jego jednakże, że „w sporze interesów ludności z interesami urzędników rząd poczuwa się do obowiązku dopomódz interesom ludności," dowodzi, że zerwał nareszcie ze wstrętną tradycyą panowania biurokratyzmu w Austryi. To krok dalej ku federacyi.

Stronnictwo centralistyczne, ratując resztki niemieckości, nietylko wystąpiło z oskarżeniem ministeryum o zdradę stanu, lecz także z projektami, które możnaby nazwać przekupstwem politycznem. Jeden z posłów tej grupy, Schoenerer, wniosł, ażeby Dalmacyę wcielić do korony węgierskiej, a Galicyę i Bukowinę wyłączyć ze związku państwowego na wzór Węgier. Węgrzy za ten hojny prezent, ofiarowany przez Schoenerera, byliby niezawodnie bardzo wdzięczni i złagodnieliby w krytyce stronnictwa liberalnego niemieckiego; co do Galicyi, nie wydawałby się również ten projekt czemś złem. Niemiecka życzliwość zubożyła nas, ogłupiła, obdarła, pokłóciła i zostawiła na łasce losu; kto wie, czyby bez niej nie byłoby lepiej—ale do czego właściwie zdążał taki wniosek? Co zyskują Niemcy? Bardzo wiele. Przedewszystkiem Przedlitawia, pozbywszy się Galicyi i Dalmacyi, jako niedających się zgiermanizować, pozostaje z Niemcami, którzy wówczas będą gospodarowali po niemiecku w Czechach, na Morawii, na Szlązku, w Krainie, Karyntyi i Styryi, czyli będą panowali bodaj nad częścią Austryi, gdy teraz, przy najlepszej chęci, nie mają gdzie panować. Tak długo urzędowa statystyka i geografia uczyły nas, że ludów słowiańskich niema — a tymczasem one pokazują się nagle. Nic dziwnego przeto, że Wolff niedawno ryczał w parlamencie: „Pójdziemy do Drezna i tam powiemy naszym braciom, że spełnialiśmy nasze zadanie wedle możności, że byliśmy do ostateczności wierni. Ale powiemy im także: drodzy bracia, nam się zdaje, że tu już koniec! Nam się tak wydaje, jak gdyby Badeni był zwiastunem Kladeradacza, w którym my Niemcy nie myślimy zatonąć bez śladu. Miejcie się na baczności towarzysze niemieccy!" Bardzo żałośnie— nie ma co mówić; tylko ten gorliwy obrońca germanizmu zapomniał, że Prusy są takiem samem państwem *niemieckiem*, jakiem była Austrya. Mimo wszystko, posłowie niemieccy jeździli na narady do Drezna, wypili dużo piwa i powrócili z niczem.

Wszystkie te awantury stronnictwa liberalnego, dążące do zniesienia rozporządzeń językowych i obalenia Badeniego, nazywają się w dziennikarstwie galicyjskiem „obstrukcyą." To jest *perfidia* z taką *nonszalancyą* robią *konwentykel* — jak się pisze u nas.

Czem się to wszystko zakończy? — Zobaczymy. Teraz od polityki parlamentarnej przejdźmy do ekonomicznej, na to pole, na którem pracuje — z pożytkiem dla państwa i dla siebie — minister Biliński, doprowadzający do końca, rozpoczęte przez Dunajewskiego, dźwiganie finansów Austryi za pomocą zdzierstwa.

Czytelnicy przypominają sobie słodkie obietnice Bilińskiego podwyższenia płac urzędnikom; przyjęto je bardzo życzliwie. Chodziło tylko o wyszukanie funduszów. Były pogłoski, że giełda, ten przytułek rozbójników, uprawiających swoje rzemiosło tajemnie, z premedytacyą, zostanie opodatkowaną, a w ten sposób dochody państwa zwiększą się i stanie się zadość sprawiedliwości. Pokazało się wszakże co innego. P. minister nie miał odwagi zaatakować gniazd jaszczurek, ale nie zabrakło mu odwagi sięgnąć do kieszeni najuboższych ludzi i wyciągać ciężko zapracowane grosze. Mam tu na myśli nowy projekt tego genialnego rabusia. Pragnie on nałożyć podatek na dwa produkty codziennego spożycia: cukier i naftę. Jest to wszakże tylko jedna strona medalu. Skutkiem nałożenia nowego podatku przemysłowcy będą pokrzywdzeni (o konsumentach nikt nie mówi), otóż ci krokodyle niewinni, ażeby uniknąć strat, tworzą kartel, czyli mówiąc jaśniej — obmyślają takie sposoby oszustwa, któreby podchodziły pod kategoryę obrony własnych interesów. Przypatrzmy się, jak to wygląda. Dzisiejszy podatek od cetnara wynosi 13 złr., cena surowca 11—12 złr., a fabrykanci dostarczają cetnar metr. rafinady po 29—30 złr. Kartel, czyli zmowa rafinerów podniosła tą cenę obecnie do 32—33 złr. Rząd ma zamiar zażądać podwyższenia podatku o 4 złr. na cetnarze, czyl podniesie ją do 17 fl. Rafinerzy, ażeby na tym interesie „coś zarobić," wiążą si w stowarzyszenie, które poręcza produ

---

Azyi składać wizyty nie trzeba.

Ona przychodzi sama.

Zaledwie zdołasz wsiąść do powozu, gdy na kozioł wskakuje Turek w fezie wysokim, czerwonym. To jest nasz urzędnik do wszelkich i szczególnych poruczeń. Gdy chcemy coś kupić, nie pozwala wyjąć sakiewki, lecz sam w tej chwili za nas płaci.

Podczas śniadania w olbrzymim hotelu angielskim — zbudowanym z takiem wyrachowaniem, ażeby można go było w chwili odpowiedniej zamienić na koszary — oczekuje z naszemi rzeczami na ulicy.

Odpędza ubogich, poleca magazyny, mówi wszystkimi językami: po turecku, arabsku, angielsku, grecku, włosku, francusku, niemiecku, rozumie po rosyjsku, i zawsze, jak tylko zamierzamy otworzyć usta, patrzy nam w oczy wzrokiem wyżła, gotowego do aportowania w każdej chwili.

Afryka.

Do parowca podpływa statek. Na nim ludzie, jak dyabli wygnani z piekła. Czy to są mężczyźni, czy kobiety, starzy, czy młodzi — nie można poznać. Wszyscy pokryci czarnym kurzem i tylko połyskują im oślepiająco białe zęby. Łachmany czarne, trzępki ubrania.

„Pasażerowie" spodu naszego okrętu — to ludzie w szarych kapotach, którzy korzystają z trzech zmian bielizny, otrzymują dwa razy dziennie strawę gorącą, trzy razy herbatę, posiadają tytoń skarbowy; to ludzie, którzy mają opiekę lekarką i szpital; ci „nieszczęśliwi," którzy nic nie popełnili, oprócz przestępstwa, są to szczęśliwcy w porównaniu z tymi paryasami, którzy ciężką pracą zdobywają sobie prawo tak lichego istnienia.

Byliby szczęśliwymi .. Aby pojąć różnicę, spojrzyjcie w żywe, błyszczące oczy nieszczęśliwego, głodnego fellacha i porównajcie go z przygasłym, bez życia wzrokiem „sytego" aresztanta, a zrozumiecie, co to jest swoboda...

* *

Port-Said — to jedna olbrzymia witryna. Jeden wielki magazyn, w którym można dostać wszystkiego.

Fotografie — nieprzyzwoite, materye wełniane — nawpół z papierem, obuwie— pękające nazajutrz, ubranie gotowe—które nie pęka na wszystkich szwach tylko wtedy, gdy się go nie przymierza.

Wązkiemi ulicami, między zalotnymi domami z szeregiem werend miasta europejskiego, wjożdżamy do dzielnicy arabskiej.

Błoto, powietrze cuchnące.

Obdarte, nędzne sklepiki, w których mydło leży obok mięsa, cytryny ze skórami.

Oto w czarnem ubraniu kobieta kupuje kawałeczek mięsa, jakby dla kotki ulubionej.

To porcya na całą rodzinę.

Obok wielkiego opactwa misyonarzy katolickich, w którem dzwonią we wszystkie dzwony, jedziemy ku małemu milczącemu meczetowi.

Chłód, cisza i półmrok.

Podłoga usłana trzcinowemi matami, pantofle słomiane tłumią kroki. Przed wiszącym w niszy dywanem wzorzystym, z gwiazdami i świętemi sentencyami z Koranu siedzi z nogami przykurczonemi fellach, cały w sadzy i pyle węglowym.

Można stanąć obok niego, patrzeć, on nic nie spostrzeże. Cały pogrążył się w modlitwie, wzrok nieruchomie utkwił w dywanie świętym.

Jakie obietnice czyta on w zygzakach Koranu? O co modli?

Czy o to, żeby wielki prorok dał mu miejsce w raju czarownym, czy też, ażeby mógł w tym tygodniu zarobić pół piastra?..

(C. d. n.).

centom 15 złr. za cetnar metr. Rachunek zatem tak się będzie przedstawiał: gwarancya rafinerów podwyższy cenę minimum o 3½ fl. na cetnarze surowem; rafinerzy także zechcą zarobić 37, podwyżka podatku wyniesie 47, co wynosi 10½ złr. na cetnarze metr., czyli innemi słowy: cena kilograma cukru podwyższy się o 10½ centów, tj. o przeszło trzecią część. Ponieważ Galicya konsumuje do 300 tys. cetn. metr., zapłaci zatem p. ministrowi o 4 miliony złr. więcej, niż dotychczas, a kartelowi mało nie drugie tyle.

Z naftą dzieje się to samo. Dotychczas istniejący kartel skończył się, a producenci myślą o nowym z powodu projektowanego podwyższenia podatku. Tak więc rząd powiada do konsumentów: dajcie mnie o 1½ złr. więcej, niż dotychczas na cetnarze; kartelowcy powiadają: a nam proszę zapłacić po 2 złr. za fatygę — co znowu wywoła zwyżkę na cetnarze około 3½ fl. W imię czego dzieje się to wszystko? No, rząd obdziera, bo — ma prawo, ale dlaczego zmawiają się na obdzieranie przemysłowcy? Jeżeli złodzieje, zmówiwszy się, rabują jednostkę, wyłapani idą do więzienia, a jeżeli bogaci przemysłowcy zmawiają się, ażeby każdej najuboższej rodzinie, żyjącej z pracy, wyrwać rocznie z kieszeni kilkanaście złr. idą — na posłów do Rady państwa, jako obrońcy przemysłu krajowego. Każdy przemysł niezawodnie zasługuje na obronę i podniesienie, ale cóż to za forma obrony, skoro na bogatych składać mają swoje zapracowano grosze ubodzy? Przypuśćmy, że w Galicyi nie istnieje przemysł naftowy, nie ma nafty wcale, ochrony przeto żadnej niema i niepotrzebna, cóż się dzieje? Otrzymywalibyśmy wówczas naftę z Rosyi lub Ameryki o ⅔ taniej, niż mamy teraz. Ze względu więc na oszczędność publiczną należałoby więcej popierać handel zagraniczny, a znieść te budy nieprodukcyjne, ubożące ludność. Dodać jeszcze muszę, że pomimo kilkonastoletniej ochrony, przemysł naftowy w Galicyi sięga 5 mil. złr. wartości, że jest prawie całkowicie w ręku Żydów, Niemców, Belgijczyków i Anglików. Kogóż my u licha bogacimy naszym groszem i kogo ochraniamy? Przecież p. Biliński wie o tem doskonale, a prokuratorya państwa nie kładzie na kartele *veto*, jeno na czyn kryminalny — wszystko to w imię obrony przemysłu. Dziwić się przeto nie należy, że jak długa i szeroka Galicya, słychać wszędzie narzekania, niezadowolenia i groźne pomruki, co nie przeszkadza bynajmniej dążyć p. Bilińskiemu spokojnie do panteonu sławy i usilnie starać się o tytuł zbawcy Austryi.

Drogo płacimy za tę sławę.

Cho.

DZIEJE ZABAWY.

I.

„Młodzież nie umie się bawić obecnie!"

Niejednokrotnie zdarzyło mi się słyszeć to narzekanie z ust osób starszego pokolenia. Skarga jest tak powszechna, iż niewątpliwie zawiera w sobie źdźbło słuszności. Nie chcemy powiedzieć, ażeby generacya obecna istotnie zapomniała umiejętności spędzania wczasów, ale jedynie, iż bawi się ona inaczej, aniżeli ongi. Animusz, ożywiający ludzi podczas wypoczynku, zależy od usposobienia. Życie codzienne, spędzane w obowiązku i zajęciu, pozostawia zawsze pewne strony w naszym organizmie, domagające się ćwiczenia, pewne uczucia żądne głosu, pewne emocye niewyładowane. Jakie—jest to rzecz zmienna, zależna od epoki historycznej, którą badamy. W każdym z idących po sobie okresów rozwoju zaspakajamy swoje łaknienia — biorę ten wyraz w bardzo rozciągłem znaczeniu — z dnia na dzień, z godziny na godzinę w inny sposób. Zabawa, która powinna uspokoić i ukoić w nas to, co jest nadwyrężonego, zapełnić luki niezapełnione, zabawa musi przybrać zgoła odmienny charakter w dwu różnych epokach bytu społecznego. Starsze pokolenie, chroniciel subjektywizmów w chwili przełomowej, zawsze ma i mieć będzie w takich okazyach sporo powodów do narzekania, że młodzież nie umie się bawić.

Istotnie, jakie społeczeństwo, taka zabawa!

Włościanin nasz, który podczas żniw, od wschodu do zachodu słońca, zgięty pracuje pod palącymi promieniami, za nadejściem święta rzuci się gdzieś pod cieniem drzewa na ziemię — jak kłoda bezwładny, da on przedewszystkiem wypoczynek spracowanym mięśniom. Zmysły słuchu, wzroku, zapomniane w ciągu tygodnia, łakną ćwiczenia. Rozrzewnienie, które maluje się na twarzach włościaństwa w kościołku wiejskim, pochodzi nie z rozmyślań nad dogmatem, ani nie z „zachwytu kosmicznego," że użyjemy wyrażenia Clifforda, ale płynie z ekstazy, jaka ogarnia modlących się na odgłos śpiewów chóralnych, dźwięków organu, tłumów wiernych. To nie duch się modli, ale nerwy, wyprężone w pewien sposób, drgają!

Inny zgoła widok oczekuje nas na polach dalekiej Dakoty, na których nowe, udoskonalone narzędzia i sprzęty zastąpiły sie rp i cepy naszych praojców.

Kiedy przed laty pewnego południa w sierpniu przypatrywałem się żniwom na równinie, przerzniętej przez nurty rzeki Czerwonej, mając przed sobą bateryę wiążących żniwiarek, która jako smok bajeczny opasywała pole i machając lśniącemi od słońca skrzydłami co chwila wypluwała z każdego ogniwa kilka snopów, zrozumiałem, że jestem nietylko w obliczu nowej techniki, lecz także nowej formacyi ludzi. Robotnik rozsiadł się na fotelu, kark jego nie zna zmęczenia, mięśnie ręki — spracowania. Ale ucho, ale oko! Zmysł słuchu jest tam w napięciu nieustającem. Pudło maszyny umieszczono po za parobkiem, który uchem winien łapać każdy fałszywy zgrzyt narzędzia, zawiadamiający go, że coś popsuło się. Oko nie odwraca się od mułów. Po dziesięciogodzinnej pracy najemnik odchodzi od roboty z mięśniami, po tak długiej bezczynności, żądnymi ćwiczenia, ale natomiast ze zmęczonymi organami wyższych zmysłów. Gonitwy, piłka, tańce, wogóle wszelki sport mięśniowy muszą przeważać tam podczas zabawy. Nie wiem, jak Dakotczyk spędza wczasy w porze letniej. Ale nie powątpiewam, że odmiennie się modli i bawi, nawet inaczej zaleca się dziewczynie i gestykuluje w rozmowie z przyjacielem, ukochał inne melodye i odmienne tempo tańca. Nasz włościanin i robotnik, pracujący na niwach Dakoty, są przedstawicielami dwu różnych formacyj pracy codziennej i ćwiczenia organizmu. Dwie to odmienne także rasy duchowe i dwa odmienne sposoby zabawy!

Istota ludzka zawsze potrzebowała i zawsze łaknąć będzie zabawy — odpoczynku dla zmęczonych mięśni i zmysłów, ćwiczenia dla tych, które pozostawiono w bezczynności. Ubolewania, że młode pokolenie nie umie się bawić, jest tylko stwierdzeniem tego faktu, że formacya społeczna uległa zmianie i że jej członkowie mają skutkiem tego inne potrzeby. Stanąwszy na takim punkcie widzenia, możemy objąć okiem zmieniający się charakter zabawy, bylebyśmy zrozumieli uprzednio podstawy każdorazowego ustroju społecznego.

Rzućmy wzrokiem po wiekach ubiegłych.

Obszczyna taka, jakiej szczątki dochowały się jeszcze w Rosyi, oparta na zasadzie solidarności, obca niepewności jutra. Była ona organizacyą ubezpieczenia wzajemnego, tak rozległego, iż obejmowała wszelkie potrzeby. Wychowywała sieroty i wspierała wdowy i niedołęgów, otaczała nowożeńców opieką, pomagając im zagospodarować się, spieszyła ze zbiorową zapomogą w razie pożaru, ażeby, gdy siły pojedyńczego gospodarstwa były niedostateczne, podołać robocie. Powstawała atmosfera braterska, życzliwa, ludzie zawsze gotowi byli podać dłoń każdemu potrzebującemu. Człowiek nie hołdował maksymom oszczędności, lecz marnotrawił to, co zapracował. I istotnie, po co miałby odmawiać sobie użycia, gdy wiedział, iż serce sąsiadów zaopiekuje się jego sierotami, iż dzieci w piątem i dziesiątem pokoleniu nie wyjdą na proletaryuszów, ale będą miały byt zapewniony, iż w razie nieszczęścia nie zabraknie współczucia, ani pomocy? Nie kalał więc ducha swego sknerstwem i liczykrupstwem! Moraliści mieszczańscy, tak wysławiający wstrzemięźliwość, mieliby tam szerokie pole dla wypróbowania wpływu jeremiad swoich lub raczej nie mieliby żadnego, bo członek gminy nie darzyłby uwagą ich czczych gadanin i na nauki odpowiedziałby zarzutem: zalecacie oszczędność indywidualną, ja zaś jestem niepoprawnym rozrzutnikiem, trwoniącym to, co zarobiłem, natomiast mam, czego wy nie macie — etykę oszczędności społecznej! Z dumą pokazałby śpichlerze gminne, w których leży zboże na wypadek nieurodzajów i głodów, zaprowadziłby na pole wspólne, z którego plony służą do utrzymania sierot i kalek, rozwiódłby się nad tem, że gmina jego jest organizacyą ubezpieczenia wzajemnego. Taki marnotrawca pracuje bez troski o jutro, po robocie zaś bawi się do upadłego. Śpiewem i muzyką, pląsami i humorem rozbrzmiewa żywot jego! Nowokaledończyk wstaje ze wschodem słońca, idzie do kąpieli, spożywa śniadanie i udaje się do roboty. Wraca na obiad, po obiedzie ciągną się odwiedziny i rozmowy, po kolacyi zaś tańce. Albo inny przykład: „O wschodzie słońca wszyscy Otomakowie, zdolni do pracy, udają się do naczelników, którzy wyznaczają, kto ma iść na połów zwierzyny, ryb i żółwi — stosownie do pory roku. Podczas żniw posyłają pewną część osób na plantacye. Wolni od zajęć grają w piłkę, kobiety zaś lepią garnki, wyrabiają maty, koszyki, worki i około południa przyłączają się do grających. Myśliwi wracają o czwartej. Wtedy wszyscy przerywają grę, jedni udają się do kąpieli, drudzy do domów, kobiety i dzieci wyładowują ryby z łodzi i znoszą je do naczelnika, który dzieli połów stosownie do potrzeb rodzin. Naówczas idą na obiad, potem kąpią się powtórnie, nocą zaś tańczą i bawią się." W życiu barbarzyńskiem zdarzają się okresy ciężkiej, pośpiesznej pracy, gdy trzeba uprzątnąć plony, zanim przyroda rozgniewa się. Zapominano wtedy na razie o zabawach. Natomiast po żniwach następowały „dni szalone," „dni puste." Zmęczony organizm dopominał się użycia, ciało rozpoczynało orgie. Z pewną obawą napisałem ostatni wyraz, ażeby nie podsunięto mu innej treści i nie utożsamiono z wybrykami czasów nowożytnych. Orgie obecne, to wyuzdanie. Ciało, przesycone i zwyrodniałe, któremu za mało podniet zwykłych i użycia zdrowego, domaga się wyjątkowego rozdrażnienia. Szał dawny zaś był uznaniem tej wielkiej prawdy, iż w pewnych porach roku, na wiosnę, gdy organizm wrze siłami żywotnemi, lub po żniwach, gdy przejście od nadmiernej pracy do bezczynności oraz nadmiar jadła wywoływały ten sam skutek, trzeba dać swobodny upust wezbranym namiętnościom, tak samo, jak

otwierając klapę bezpieczeństwa, wypuszczamy z kotła parę, która doszła do zbyt wielkiego napięcia. Rozpoczynały się dni szalone, zdrowe i żywotne, jak zdrowem było społeczeństwo, śród którego się odbywały. Howie (górale w Indyach przedgangesowych) w styczniu, gdy śpichlerze są pełne, lud zaś „goreje ogniem piekielnym," puszczają wodze namiętnościom. Naród ów mniema, że w tej porze roku ludzie są prześladowani instynktami występnymi i że samo zdrowie wymaga, ażeby dano upust chuciom. „Święto zamienia się na saturnalie, służba zapomina obowiązków względem panów, dzieci szacunku dla rodziców, mężczyzni dla kobiet, kobiety zaś — delikatności i przyzwoitości." Formy swawoli są tam dzikie i rażą nasze poczucie artystyczne, ale zasada była słuszną. Dni upływały hałaśliwie, lecz organizm doznawał zaspokojenia wszechstronnego: szał wstrząsał wszystkimi zmysłami i trzymał w napięciu wszystkie mięśnie. Równość przyświecała w tym okresie zabawom. Ustawa gminna, niezapisana wprawdzie na pergaminie, ale za to wyryta głęboko w sercu członków gminy, każdemu zapewniała jednakie szanse życia i użycia. Ta maksyma zaś rozciągała się na zabawę. Gmina nieraz podejmuje biesiadników z funduszów publicznych: zasiewa pewne pole jęczmieniem, z którego robią specyalnie trunki na dni szału — bezpłatne, lub innem zbożem na kołacze. Każdy wnosi część równą, jeden drugiego nie skrzywdzi. U Kozaków dońskich w dzień św. Trójcy odbywały się „zsypki," uczestniczyli wszyscy, jedni dawali pieniądze, inni — żywność.

Solidarność i braterstwo wzajemne, równość obowiązków i kosztów oraz użycia, wszechstronność i tolerancya, przedewszystkiem zaś umiejętna i zbiorowa rehabilitacya namiętności ciała w pewnych porach roku — oto rysy zabawy za barbarzyństwa rolniczego. Dodajmy do tego zbiorowy, towarzyski charakter i zupełne nieskrępowanie się wzajemne — wszyscy wszystkich podejmują na łące lub w domu gminnym!

Obraz ulega zmianie, gdy wejdziemy w progi domostwa pana pańszczyznianego z okresów gospodarstwa naturalnego. Nawet w sferze szlacheckiej równość zniknęła, bo są tam możnowładcy, odziani w karmazyny, i tłumy szaraczków, którym głód doskwiera w domu. Zabawa nabiera odpowiedniego charakteru, choć jest jeszcze marnotrawna i bez troski o jutro. W śpichlerzach i piwnicach wielkiego pana gromadziły się zapasy jadła, które trzeba było spożyć lub oddać robactwu. Obżarstwo i pijaństwo (prawdopodobnie z nadużywaniem poddanek po kątach), przeplatane kuligami, błaznowaniem zaściankowej szlachty, obcinającej sobie uszy kwoli uciesze magnatów, obławami, stanowią rys znamienny zabawy szlacheckiej. Przy okazyi zaś pożerano olbrzymie ilości jadła. Na weselu panny Lubomirskiej w r. 1681 spożyto w jeden dzień mięsny: 60 wołów, 300 cieląt, 500 owiec, 6,000 kapłonów, 8,000 kur, 3,000 kurcząt, 1,500 indyków, 500 gęsi, 30 wieprzów, 300 zajęcy, 55 sarn, 2,000 jarząbków, 1,000 kuropatw, około 4,000 sztuk innej zwierzyny, 800 kaczek, 100 połciów słoniny, 300 kóp jaj itd. Tak wygląda spis potraw, o duchu zaś, panującym na takiej orgii żołądków, daje wyobrażenie satyryk:

...Niepomierny w szafunku stołowy zbytek
Pożera nasz dochód wszystek.
Rozum w winie się topi, gęste kieliszki
Nalały po szyję kiszki.
Brzuch w gniewnej chuci
Własny dar gardłem nazad wyrzuci,
Aspergesem skropiwszy stojących blizko,
A gębę chędoży mu psisko.
Ten się po ziemi wala, a ci się wadzą,
Posieką się, poszkaradzą!..

Zabawa członka dawnej gminy była demokratyczną. Bawili się i swawolili równi z równymi — sąsiad z sąsiadem, jedli każdy swoje, z rozrywki nie robili polowania na cudze dobro. Życie, prostacze, niewybredne, tryskało pełnią, uciecha wstrząsa organizmem wszechstronnie, jest szał, lecz niema nadużycia i przesytu. I za okresu pańszczyznianego jest pełno animuszu, ale charakter inny: ucztuje szaraczek z karmazynem, zgłodniały z przesyconym. Zabawa zamienia się na pieczeniarstwo, żołądek wyzyskuje sposobność pożywienia się na koszt cudzy.

Ale ludzie i tam i tu umieją się bawić, hałaśliwość sama świadczy o tem. Nie wierzę w zabawę dzieciaków milczącą i nie lepszego jestem zdania o swawoli dorosłych. Dopiero chwila obecna z rozrywki wypędza żywotność.

L. Krzywicki.

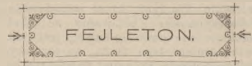
M. SZOŁKOWSKI

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Przedwcześnie ubył z naszego grona i z literatury duch szlachetny, serce do ostatnich chwil życia bijące pragnieniami dobra powszechnego. W Petersburgu zmarł M. Szołkowski, piszący pod pseudonimem Brolisa. *Prawda* zawdzięcza mu, jako autorowi wielu obrazków powieściowych i korespondentowi, nietylko cenne współpracownictwo, ale szczerą i serdeczną przyjaźń. W niej rozpoczął on pisać i w niej prawie wyłącznie pomieszczał swoje prace. Dawniejsi czytelnicy nasi pamiętają jego opowiadania („Z dziennika pesymisty" 1886 i 7, „Złoczyńca," „Kapral" 1887, „Sen filozofa" 1888, „Ibrahim" 1890, „Ałtaj" 1892, „Z notatek starego kawalera" 1890 i inne), w których nad artyzmem zwykle prostej formy przeważała zawsze jakaś sentencya filozoficzna, wysoce humanitarna. Bo celem twórczości Brolisa nie był nigdy kunszt słowa, ale myśl, skierowana ku poprawie stosunków życia i pomnożeniu szczęścia ludzkiego. Osobno wydanemu (1892) zbiorkowi swych nowel dał on tytuł „Marzenia," tytuł charakterystyczny nietylko dla nich, ale i dla niego. Był to bowiem istotnie rzetelny marzyciel. W naszych czasach coraz częściej występują na widownię tacy marzyciele, którzy pozytywizm umysłu łączą z wysokim idealizmem uczuć, z ideami wszechbraterstwa, wszechmiłości, wszechsprawiedliwości i szerokiego altruizmu. Szołkowski był jedną z najszlachetniejszych postaci tego typu. Samolubstwo, które zwykle tak głęboko w dusze ludzkie się wżera, było mu tak obcem, że najbliżsi znajomi nie mogli go w nim dostrzedz. Przez długie lata chory, wieloma nieszczęściami zraniony mówił tak, jak gdyby był wybrańcem losu śród ogólnej niedoli. Zatracił pamięć własnych cierpień i oddał ją cudzym.

W Petersburgu zajmował stanowisko inżeniera wojskowego, na którem zachował swój charakter w bezwzględnem niepokalaniu.

Żegnamy tę piękną, czystym ogniem gorejącą duszę z niewymownym żalem.



PAMIĘTNIK.

Zagadka.


Kiedy rozeszła się wieść o zaprowadzeniu monopolu wódczanego w Królestwie Polskiem, prasa sypnęła obficie radami i projektami, wskazującemi, czem zastąpić dotychczasowe szynki i karczmy. Zalecano restauracye, garkuchnie, herbaciarnie, kawiarnie itd. Od pewnego czasu wrzawa publicystyczna w tej sprawie ucichła. Tymczasem monopol się zbliża, a my wcale nie wiemy, jakie zakłady powstaną na gruzach obecnych szynków. Nie ulega wątpliwości, że zainteresowani w tej zmianie układają rozmaite plany wynagrodzenia sobie strat handlowych i wystąpią nagle z szeregiem przybytków, o których jednakże my, kontrolerzy, sternicy i historyografowie życia społecznego nie mamy dokładnego wyobrażenia. Że te przybytki nie będą umoralniające — to jest niezawodnem. Nadto, o ile nas dochodzą pogłoski i co zresztą jest u nas zjawiskiem zwykłem, dymisyonowani szynkarze rozmyślają nad sposobami obejścia prawa i utrzymania w swem ręku zasłoniętej innymi pozorami sprzedaży wódki, która jest najlepszym środkiem wyzysku niższych warstw społecznych. Przygotujmy się więc również na niespodziankę w tym kierunku. Ogromna armia miejskich i wiejskich rozpajaczów ludu nie podda się tak łatwo i nie pogodzi z losem, lecz będzie szukała tajemnych dróg dla wydartego jej zarobku. A ci ludzie ani nie przebierają w fortelach, ani nie obawiają się ryzyka. Jak złemu zaradzić? — pytacie. Ująć uczciwszemi rękami, niż karczmarskie, sprawę używek, posiłków i zabaw ludu, stanąć do współzawodnictwa z szynkarzami, zakładać po wsiach, miastach i przy traktach jadłodajnie, herbaciarnie itd., słowem rzucić kapitał w nowy rodzaj przedsięwzięć, zapewniających zyski, a nie będących jaskiniami zepsucia i spędzić z pola demoralizatorów. Mnóstwo ludzi, posiadających po kilka lub kilkanaście tysięcy kapitału, otwiera w większych miastach restauracye, na których, pomimo „gabinetów," szybko bankrutują; dlaczego ludzie ci nie zwrócą swych środków i zabiegów ku zakładom, zastępującym szynk? Gdyby nie nasza mania naśladowcza, skłonność do chodzenia utartemi ścieżkami i robienia tego, co inni, moglibyśmy w tej dziedzinie, którą otwiera monopol wódczany, zdobyć pole bardzo korzystnej pracy. Niestety, Duvalów nie mamy — i dlatego po zamknięciu karczem otworzą się w nich skryte drzwi tylne, któremi wsuwać się do nich będzie chłop, rzemieślnik, robotnik, aby stracić ciężko zapracowany grosz, zrujnować zdrowie i stępić sumienie. Panowie kapitaliści, którzy dbacie o ten grosz biedaka, o to jego zdrowie i sumienie, a przytem szukacie umiarkowanych procentów dla swych pieniędzy — zwróćcie uwagę w tę stronę.

Pośpieszna hodowla.

Czytając sprawozdania z obrad naszego Towarzystwa Ogrodniczego, często musimy pytać siebie: czy to podobna, ażeby stawiano takie wnioski i uchwalano takie postanowienia? Nieraz bowiem obrady te sprawiają takie wrażenie, jak gdyby w nich nie uczestniczył ani jeden poważny ogrodnik, tylko amatorzy sałaty i rzodkiewki, domorośli i chciwi popisu Cyceronowie, wreszcie artyści bajdania tak sobie — jak mówi któryś z bohaterów Fredry — „od śliny." W doniesieniach o ostatniem zebraniu członków Towarzystwa znajdujemy niewiarogodną wzmiankę, że postanowiono dla uczczenia pamięci Mickiewicza „wyhodować w ciągu *roku nową odmianę* jakiejś *rośliny* i nazwać ją jego imieniem." Wyznajemy w prostocie ducha, że nie mamy nawet najsłabszego wyobrażenia, jakiej rośliny nową odmianę można wyhodować w ciągu roku. Wytwarzanie nowych odmian jest wogóle bardzo trudnem, nasi ogrodnicy nie okazują w tym kierunku chęci i nie dowiedli u-

zdolnień, a już o takiej ich cudotwórczej mocy, za pomocą której zdecydowawszy w końcu maja 1897 r. wyhodować nową odmianę owocu, warzywa lub kwiatu, mieliby ją gotową w jesieni 1898 r. — pomyśleć trudno. Gdyby nam powiedziano, że którykolwiek z nich wytworzył już coś nowego i ochrzcił imieniem Mickiewicza — byłaby w tem możliwość i sens, ale wiadomość o tak pospiesznej fabrykacyi nowych odmian świadczy tylko, że albo w Towarzystwie Ogrodniczem rzucono kilka słów na wiatr, albo sprawozdawcy ich nie zrozumieli.

Jubileusz Deotymy.

Zeszłego tygodnia wielbiciele talentu Deotymy w jej salonie, a pisma w swych kolumnach uczciły jubileusz 45-lecia jej pracy poetyckiej My nie możemy podpisać się pod tymi tytułami chwały, które dotyczą stopnia talentu i jego basel; ale w czem godzimy się najzupełniej ze wszystkimi, to w uznaniu dla jej wzniosłego i szlachetnego nastroju. Deotyma nie chodziła nigdy po ziemi, więc nie wplatała w swe pieśni jej radości, smutków, pragnień, nie rozumiała jej nawet wcale, ale też Muza jej nie poplamiła się błotem i kurzem padołu. Siedziała ona ciągle na wysokich szczytach, wpatrzona w gwiazdy i zasłuchana w szum chmur, rozmawiała z Bogiem i ze wszystkimi świętymi, a chociaż z tej ekstazy nie spadało potężne światło, wywierała ona o tyle dodatni wpływ, że podnosiła w górę umysły i serca. Prorok, który nie odgaduje przyszłości, apostoł, który nie szerzy nowej wiary, pieśniarz, który nie przelewa do dusz naszych przetwarzającego je uczucia, może mimo to być dobrym duchem dla słuchającej go rzeszy, jeśli odrywa myśl jej od celów poziomych, od dążeń robaczych, od tego stęchłego, gnijącego i duszącego szlamu, który grubą warstwą zalega niziny życia i w którym zwykle grzęzną masy ludzkie. To właśnie czyniła Deotyma i to według nas stanowi główną jej zasługę.

Nasza opera.

Pomiędzy *Warsz. Dziennikiem* z jednej strony a *Kuryerem Codziennym* i *Wiekiem* z drugiej zawiązała się polemika o operę tutejszą. *Dziennik* twierdzi, że dyrekcya musi sprowadzać Włochów, gdyż naprzód nie kosztują oni tak drogo, jak się zdaje, a powtóre siłami miejscowemi, bardzo pośledniego gatunku, można wystawić zaledwie kilka oper, a znakomitsi śpiewacy polscy wolą przebywać za granicą, gdzie otrzymują wysokie płace, niż przebywać stale, a nawet gościć czasowo w Warszawie. Oba wspomniane pisma polskie sprostowały kasowy rachunek *Dziennika* co do Włochów i artystów miejscowych, a nadto przypomniały wyzbycie się całego szeregu pożytecznych sił polskich, zaznaczywszy, że dawniej umiano je prowadzić i tworzyć z nich doskonały personel. Nie zaprzeczając przytem słuszności uwag *Kuryera Codz.* i *Wieku* co do ojczymowstwa względem artystów pożądanych a usuniętych, nie możemy zakryć smutnego a nieraz gorszącego faktu lekceważenia opery warszawskiej przez znakomitych śpiewaków i śpiewaczki polskie. Jest to prawdą, że Ameryka, Francya, Anglia, Niemcy płacą im tyle, ile my nigdy zapłacić nie zdołamy. Ale dlaczego oni jedni z całego społeczeństwa mają być wolni od ofiar dla niego? Dlaczego oni jedni korzystają z przywileju, który innym jest wzbroniony pod karą odstępstwa i niesławy? Dlaczego im tylko wolno wysługiwać się obcym i to wtedy, kiedy rodzima instytucya, którą podtrzymać by mogli, ginie z niemocy lub cudzoziemczeje? Cobyśmy powiedzieli, gdyby Konopnicka, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus, Asnyk itd. zaczęli pisać wyłącznie po angielsku lub francusku, ażeby otrzymać wyższe honoraryа? A dodać należy, że owe wędrowne ptaki polskie mają złote pióra, że są to ludzie bardzo bogaci. Panowie Reszkowie np. zabierają corocznie z kraju kilkadziesiąt tysięcy rubli na wyścigach, ale uważaliby sobie za stratę wystąpić bodaj jako goście w operze polskiej. *Warsz. Dziennik* zapowiada, że dyrekcya, nie mogąc pozyskać zbyt drogich śpiewaków polskich i narażona na zarzuty z powodu włoskich, zwróci się do rosyjskich, z którymi już — jak zapewnia — zrobiła kilka prób pomyślnych i którzy przybędą do Warszawy za tańsze pieniądze.

Kolej Nadwiślańska.

Gospodarka tej kolei zawsze była i jest w rozterce z potrzebami ogółu. Dziś jednak doszło do tego, że nietylko ona lekceważy, lecz wprost szykanuje publiczność. Kogo nieszczęście zmusza do jazdy koleją Nadwiślańską, ten nigdy nie może być pewnym, czy pojedzie o godzinie, oznaczonej w rozkładzie. Najgorzej na tem wychodzą mieszkańcy siedzib letnich. Przeznaczono dla nich pociągi specyalne, które nie zawsze są w ruchu, a co najgorsza, że nigdy nie można wiedzieć, kiedy na pewno idą i o której godzinie. Nie wie o tem nawet służba na stacyi w Warszawie i wszystkich przystankach do Otwocka. Każdy tu jest gospodarzem na własną rękę, każdy wydaje rozporządzenia według własnego uznania. Zawiadowca stacyi Otwock, np. poleca przystankom pobliższym, ażeby nie zatrzymywały pociągu rannego (przychodzącego do Warszawy o godz. 7 m. 13). O ile wiemy, władza zawiadowcy jednej stacyi nie może sięgać do innych. Wie o tem i służba pociągowa, więc pomimo zakazu, czasem zabiera podróżnych na przystankach, czasem przejeżdża koło nich obojętnie, stosownie do własnego uznania. Jeżeli zapytamy dróżnika i zarazem zawiadowcę przystanku, który pociąg staje, odpowie na to: — „Bóg raczy wiedzieć: zrana idą trzy, ale który z nich zatrzyma się? Dziś jeden, jutro drugi, wiedzieć nie można.“ Na stacyi głównej w Warszawie taki sam chaos. Publiczność przyjeżdża i odjeżdża zawiedziona, bo pociąg drugi, popołudniowy, odchodzi czasem tylko, w niektóre dni, nieoznaczone ściśle*). Podobno byli tacy, co nim jeździli; większość podróżnych nie wierzy jednak temu i uważa ów pociąg za mit. Pewniejszy odchodzi codzień stale o godz. 4 m. 10 po południu, ale niewielki pożytek przynosi, gdyż urzędnik pełni czynności swe tylko w operetce do trzeciej w. rzeczywistości zaś większość pracuje do czwartej, a więc ci, którzy chcieliby co dzień po skończonych zajęciach jeździć do swej rodziny na wieś, muszą cały tydzień siedzieć w mieście i korzystać tylko z niedziel. Kolej traci na tem najmniej paruset podróżnych dziennie. Przedsiębiorcy siedzib letnich z okolic Wawra urządzili się bardzo praktycznie, bo wprowadzili dla swych mieszkańców stałą komunikacyę kołową; mają tedy i sami zysk i dają dogodność publiczności. Warto, ażeby właściciele wszystkich innych mieszkań letnich wzdłuż linii Nadwiślańskiej poszli za ich przykładem. Podróżni na terytoryum podmiejskiem nie oglądaliby się wtedy na łaski i fantazyę kolei.

*) Od paru dni już się ustalił.

BADANIA NAUKOWE.

James Sully, *Umysłowość ludzka*. Księga podręczna psychologii. Z angielskiego tłóm. J. K. Potocki. Tom I-szy. Warszawa, 1897.

II.

Wszystko to dowodzi, że, jakkolwiek o początku świadomości nic nie wiemy i nic powiedzieć nie możemy, musimy uznać ją za bezpośredni skutek czynności, odbywających się w mózgu. W prawidłowych warunkach życia świadomość trwa bez przerwy, jeżeli pominiemy sen głęboki, nastręczający pod tym względem pewne wątpliwości, ponieważ mózg pozostaje zawsze w stanie pewnego napięcia. Przypływające doń coraz to nowe fale krwi, raz mniejsze, drugi raz większe, zależnie od spraw odżywiania oraz dochodzące doń wrażenia zewnętrzne i wewnętrzne drogą nerwów czuciowych, nietylko podtrzymują bez przerwy jego stan napiętości, ale nadto wywołują w jego stanie ciągłe zmiany. Ten stan napiętości mózgu nie jest niczem innem, tylko natężeniem spraw nerwowych, jakie w nim zachodzą. Temu właśnie natężeniu odpowiada świadomość wyraźna. Najmniejsze obniżenie w owych sprawach pociąga za sobą przyćmienie świadomości, która z wyraźnej staje się niewyraźną. Lecz świadomość trwa o tyle, o ile się zmienia. Jedyną przyczyną tych zmian są wrażenia tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne, które, dochodząc do szczególnych części mózgu, stanowiących oddzielne ośrodki, pobudzają je do działania, odpowiadającego ich związkowi z narządami wewnętrznymi i zewnętrznymi, oraz ich budowie wewnętrznej, ustalonej dziedzicznością i wprawą indywidualną. W ten sposób występują w świadomości zmiany, zwane czuciami, postrzeżeniami, wyobrażeniami itd., które nie są żadnymi bytami, ale czynnościami umysłowemi. Taki sam początek i takąż naturę mają uczucia, wzruszenia i chęci.

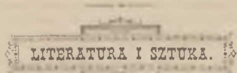
Przyjęta dziś powszechnie formuła, podług której każdemu zjawisku duchowemu towarzyszy zawsze pewne zjawisko fizyczne, ale nie odwrotnie, stwierdza najwymowniej przyczynowy stosunek czynności duchowych do spraw nerwowych. Formuła ta wprawdzie w innem znaczeniu bywa pojmowana. Zaznacza ona równoległość zjawisk duchowych i fizycznych, ale przeczy, żeby między niemi był jakiś związek przyczynowy. Kieruje się ona tu przeświadczeniem, że ze znanych nam własności materyi niepodobna wyprowadzić świadomości, że zatem między świadomością a materyą niema nic wspólnego, nic takiego, coby mogło upoważniać do uważania świadomości za skutek spraw czysto materyalnych. Niezawodnie, że przeciwko tak sformułowanemu zagadnieniu nie da się nic powiedzieć. Wszelkie dotychczasowe usiłowania wyprowadzenia świadomości z własności materyalnych muszą być uznane za chybione. Okoliczność ta wszakże nie dowodzi wcale, ażeby między zjawiskami duchowemi a fizycznemi nie było związku przyczynowego. Jeżeli między świadomością a sprawami mózgowemi nie możemy wykryć żadnego łącznika, dzieje się to dlatego, że o stosunku konkretnym wyrokujemy ze stanowiska pojęć, które będąc abstrakcyami, opartemi na klasyfikacyi zjawisk, uwydatniają różnice kosztem podobieństw. W istocie między naszemi pojęciami materyi, jako rozciągłej, i duszy, jako nierozciągłej, nie masz nic wspólnego, wykluczają się one wzajemnie. Nie-

możność pogodzenia dwóch tych pojęć ma swą przyczynę w tem, że każdo z nich posiada inne źródło poznania, z innych składa się pierwiastków. Pojęcie o materyi jest kwintesencyą naszych postrzeżeń zmysłowych, pojęcie o duszy — naszych postrzeżeń wewnętrznych. Jak dwa te postrzenia nic wspólnego z sobą nie mają, tak i oparte na nich pojęcia muszą być sobie przeciwne. Dzieje się tak nietylko w wyższej sferze naszego poznania, ale i w najniższej. Czucie barwy pozostanie dla nas zawsze czemś bezwzględnie różnem od czucia ciepła, dźwięku itd., pomimo że wszystkie one występują jako własności jednej i tej samej rzeczy, pomimo że wszystkie fizyka dzisiejsza sprowadza do pewnych form ruchu. Nasze pojęcia o duszy i materyi są prostymi schematami, ułatwiającymi nam oryentowanie się wśród nieskończonej mnogości zjawisk konkretnych. Przyjmować je więc za punkt wyjścia dla wywodów, mających za sobą wykrycie stosunków, jakie zachodzą między zjawiskami konkretnemi, byłoby to powracać do zwyczajów metafizyki spekulacyjnej, która o rzeczach sądziła nie podług tego, jakiemi one są dla obserwacyi, ale jakiemi być powinny ze względu na wywiedzione o nich pojęcie *a priori*. Chociaż dusza i ciało, jak je pojmujemy, wydają się nam czemś bezwzględnie różnem, stanowią one jednakże całość konkretną i między niemi ścisłej granicy niepodobna przeprowadzić. Co więcej, jeżeli możemy pojąć materyę bez duszy, duszy bez materyi pojąć nie możemy dla tej prostej przyczyny, że duszę znamy tylko w związku z materyą. Świadczy to wymownie, że między duszą a ciałem zachodzi różnica względna, nie zaś bezwzględna. Zresztą nie znamy ani duszy, ani materyi, znamy tylko zjawiska duchowe i materyalne, których istota może być ta sama i które się różnić mogą tylko stopniem rozwoju. Jakoż widzimy, że świadomość jest nieodłączna od najwyższej formy bytu, że występuje ona na tle wysoce uorganizowanej materyi, jaką jest materya nerwów wogóle, a szczególnie materya szara, stanowiąca korę mózgową. I jak materya w swem przeobrażaniu się przechodziła różne fazy rozwoju, tak samo działo się i ze świadomością. Nie odrazu ukazała się ona taką, jaką znajduje w sobie człowiek dzisiejszy, korzystający z wiekowych nabytków swych przodków. Nie mówiąc już nic o świadomości pierwotnych istot zwierzęcych, świadomość najdalszych naszych przodków zaledwie może być porównywana z tem, co nam obecnie mówi o niej nasze postrzeganie wewnętrzne. Między zaczątkowymi objawami świadomości a teraźniejszym stanem jej rozwoju, jak ją w sobie znajdujemy, leży nieskończona skala stopniowych przejść, odpowiadająca jak najdokładniej skali organicznego rozwoju świata zwierzęcego.

Autor pojmuje paralelizm psycho-fizyologiczny w ścisłem znaczeniu, a mianowicie, że zjawiska duchowe i fizyologiczne zgadzają się z sobą w swym przebiegu, ale nie zależą od siebie. Zgodność ich nie wynika z przyczynowego ich stosunku do siebie, ale z doskonałej ich koordynacyi, na podobieństwo dwóch zegarów, które jednocześnie wybijają te same godziny, dzięki doskonałemu uregulowaniu ich mechanizmu. Łatwo pojąć, że uregulowanie dwóch mechanizmów nie nastręcza wielkich trudności. Lecz jak wytłómaczyć skoordynowanie zjawisk duchowych i fizycznych? Jeżeli porównanie go z mechanizmami zegarowymi ma służyć za wyjaśnienie, musi to porównanie być przyjętem ze wszystkiemi swemi konsekwencyami. Jedną z nich jest, że jak uregulowanie mechanizmów zegarowych bywa dziełem zegarmistrza, tak również skoordynowanie zjawisk duchowych i fizycznych musiało mieć swego sprawcę, tem potężniejszego, że chodziło tym razem o pogodzenie z sobą najniezgodniejszych czynników, które wzajemnie się zaprzeczają i wykluczają. Że tego rodzaju wyjaśnienie nie ma nic wspólnego z badaniem naukowem, zbytecznem byłoby dowodzić. Dla wyjaśnienia paralelizmu psycho-fizyologicznego uciekają się zwykle do nieznanej nam istoty rzeczy, obdarzając ją własnościami, jakie w tym celu są nam potrzebne. Przyjmują mianowicie, że materya i świadomość stanowią dwie jej strony, że zatem świadomość nie zjawia się odrazu w przyrodzie, jako fakt powszechnego rozwoju, ale tkwi w niej jako świadomość nieświadoma. Czem jest ta świadomość nieświadoma? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam metafizykom, którzy nie cofają się przed żadnemi trudnościami. Zwrócę tylko uwagę na to, że dowodzenie czegoś za pomocą tego, co samo potrzebuje dowodu, stanowi błąd logiczny, zwany *petitio principii*. Istota rzeczy nie może być zarazem i materyą i duchem, gdyż materya i dusza są naszemi pojęciami, mającemi swe źródło w warunkach poznania. Czem jest rzeczywistość w samej sobie, niezależnie od jej stosunku do warunków naszego poznania, tego nie wiemy.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Bolesław Prus, *Faraon*, tomów 3. Warszawa, 1897.

Gdym poraz pierwszy wziął do ręki *Faraona*, ucieszyłem się, będąc pewny, iż tu chodzi o zwykłego, bezpretensyonalnego *faraona*: byłby to temat idealny, znakomicie zastosowany do talentu niezwykłego humorysty. Wyobrażałem sobie szereg przepysznych obrazów rodzajowych, w smaku holenderskim, pełnych pijatyki, wrzawy i życia — prawdziwych Teniersów — już zachwycałem się postaciami tych lekkoduchów i sowizdrzałów z pośród młodzieży szlacheckiej, młodych libertynów, wpadających w sidła prowincyonalnych szulerów i szukających pocieszenia w kuflu, w pojedynkach lub w rubasznych zalecankach do ładnych, jędrnych dziewcząt, zalecankach, które się kończą tam gdzieś w stodole — w sposób iście Prusowski. Na wszystko to pada złoty promień knajpiarskiej, ale prawdziwej poezyi i wreszcie ta podmiejska sielanka przeplata się gdzieniegdzie wzruszeniem załzawionem i szlachetnem. Muszę wyznać, iż przystępowałem do czytania z łakomstwem smakosza, którego dolatuje zapach cudnego bigosu. Słodko marzyłem, srodze mnie zbudzono.

Prus wskrzesicielem hieratycznych cieniów starożytnego Egiptu — wydawało mi się to czemś tak dziwacznie niestworzonem, iż musiałem przetrzeć oczy, aby się przekonać, że nie śnię. Ale tak jest, nie można się łudzić.

Przeczytałem pierwsze dwa tomy bez entuzyazmu i z wciąż wzrastającym żalem. Przypadek chciał, iż właśnie przedtem ukończyłem ostatnią część „Emancypantek“ i wszystkie postaci tego dzieła stały mi żywo w pamięci. Jest to sobie poczciwe powieścisko, pisane bezpretensyonalnie, po gospodarsku, bez cienia konstrukcyi, *au hasard du feuilleton*, ale niektóre osoby — Solski, pani Latter, Dębicki, Zgierski itd. — są żywe i charakterystyczne. Otóż, czytając pierwszy tom *Faraona*, znalazłem ponownie wszystkich tych starych znajomych. Autorowi jakiś złośliwy Chochlik wypłatał bolesnego figla. Cienie bohaterów tamtej powieści unoszą się nad tą i autor w żaden sposób odpędzić ich nie jest w stanie, a to dla prostej przyczyny, iż nie wymiótł jeszcze z wyobraźni, nie przetrawił ostatecznie jednej, gdy przystąpił do pisania drugiej. Stąd szereg, być może mimowolnych, ale nader przykrych reminiscencyj, nużących i niecierpliwiących, gdyż posuwają się nietylko do tożsamości typów psychicznych, ale do podobieństwa w postępowaniu i w sposobach wyrażania się. Autor odział swych warszawskich bohaterów w czepki, przepasał im biodra spódniczkami, przyczepił fartuszki i kazał być — Egipcyanami. To też wszyscy oni są z początku jakoś nie swoi, skrępowani, mówią językiem pożyczanym, ale z czasem przywykają do swego położenia i autor rozprawia o ich strojach z taką pewnością siebie i niedbalstwem, jak gdyby od dzieciństwa sam chodził w fartuchu, czepku i spódniczce — co jednak nie przeszkadza, aby jego Egipcyanie byli warszawiakami czystej krwi.

Autor charakteryzuje Ramzesa w sposób, który bez żadnej prawie zmiany zastosować się daje do Solskiego: „W księciu Ramzesie kojarzyły się niezwykle sprzeczne przymioty. Był on gwałtowny, jak lew, i uparty, jak wół. Ale obok tego miał *wielki rozum* i głębokie poczucie sprawiedliwości.“ Myślą, postępują i wyrażają się w sposób jednakowy, aż do drobnostek. Obaj lubią bić. Gdy Solski zabija psa — to metrem, a gdy Ramzes chce ukarać poborcę podatków „zwalił go przez łeb swoją miarą.“ Wprawdzie nie zabił go, ale „mimo to, właściciel poplamionej tuniki aż usiadł na ziemi, a obmacawszy perukę i głowę, spojrzał na przeciwnika zamglonemi oczyma.“ Są to drobnostki, ale one właśnie podkreślają okoliczność, iż autor miał w głowie stary typ, gdy chciał przedstawić nowy. Tylko że Solski jest daleko bardziej charakterystyczny, Ramzes stanowi tylko bladą jego kopię, z konieczności, gdyż skrępowany jest niezwykłym strojem, nowymi warunkami otoczenia i sytuacyi. Działalność jego wywiera się w szerszych zakresach ale typ psychiczny lepiej jest uwydatniony w bohaterze warszawskim. To też gdy myślę o Ramzesie, wyobraźnia podsuwa mi wciąż wizerunek Solskiego, tylko odzianego w kaftan w pasy żółte i czarne, taki sam czepek i fartuszek niebieski z czerwonem. Romans Ramzesa z Sarą przypomina mocno romans Solskiego z Madzią. Oto kilka ustępów, które analogię tę uwydatnią. „Kobiety są bardzo niespokojne — mówił do siebie książę. — Sara jest najspokojniejsza z kobiet, inne jednak lubią dużo gadać, płakać i wrzeszczeć...“ Dla tych samych mniej więcej zalet dobroci i skromności Solski pokochał Madzię. „I pierwszy raz zbudziło się w duszy Ramzesa podejrzenie, że i Sara pod pozorami dobroci może ukrywać obłudę.“ Wiadomo, iż podejrzenie to przez długi czas trapiło Solskiego względem Madzi. Rozwój uczucia obu bohaterek jest prawie identyczny. „W Sarze zachodziły pewne zmiany, przedewszystkiem moralne. Od pierwszej chwili, kiedy spotkała go w pustynnej dolinie, Ramzes podobał się jej. Lecz uczucie to naraz umilkło pod wpływem ogłuszającej wiadomości, że ten piękny chłopiec jest synem Faraona i następcą tronu...“ (Czytajcie „brzydki chłopiec...“ „hrabia,“ a mieć będziecie Solskiego). „Nadto, nim zdążyła oswoić się z nowemi wrażeniami, zatrwożyła ją niechęć okolicznego ludu do niej, Żydówki, potem wizyta jakichś nieznajomych pań“ itd. (Czytajcie „niechęć arystokratycznego otoczenia do niej, guwernantki,“ wizyta nieznajomych pań: ciotki Gabryeli itd.).

„To, że Ramzes ujął się za nią i chciał się rzucić na napastników, przestraszyło ją jeszcze bardziej — zupełnie jak Madzię w innym wypadku. Tego rodzaju natrętnemi reminiscencyami dzieło jest przepełnione. Ale, jak wiadomo, Solski ma ukochanego profesora, Dębickiego, pedanta, który niezmordowanie wykłada poglądy sentymentalno - mdławej socyologii i domorosłej filozofii. Odziejcie Dębickiego w żółto-zielony kaftan, takiż czepeczek i w fartuch szary w pasy różowe — a mieć będziecie Pentuera. Taż sama filozofia, też same ideały, też same wyrażenia. Tamten uwielbia serca czułe, które jak dobre „skrzypce“ odzywają się w sąsiedztwie każdego tonu, ten ma serce „jak dolina między górami, która nie może milczeć, kiedy słyszy krzyk, lecz odpowiada echem.“

Należy wiedzieć, iż „książę — jak nas autor w połowie pierwszego tomu zapewnia — był *sceptykiem*, jako wychowaniec szkół kapłańskich i członek najwyższej arystokracyi.“ Otóż temu sceptykowi Pentuer, kapłan egipski, wykłada — w drugim tomie — szereg prawd niesłychanej głębokości, w rodzaju następującej:

„Gdy jest bardzo zimno woda staje się przezroczystym kamieniem“ i że na północy woda bardzo często zamienia się w kamień, a para w białą sól, która jednak niema żadnego smaku, tylko szczypie w palce i wywołuje ból w zębach. Po tem objaśnieniu zapewnia nas autor „książę coraz bardziej podziwiał mądrość Pentuera.“ I na to trzeba być sceptykiem, wychowańcem szkół kapłańskich i członkiem najwyższej arystokracyi, by podziwiać mądrość tego rodzaju prawd*). Z tego przykładu można wnioskować, jak niesłychanie głębokiemi muszą być rozmowy filozoficzne i ekonomiczne tego sceptyka z tym kapłanem egipskim. Ale zapewniam was, iż są nieznośnie nudne. Autor widocznie, jakby umyślnie chciał wystawić cierpliwość czytelnika na próbę ogniową.

Pentuer wykłada swe zasady metodą poglądową, zupełnie jak Dębicki. Ramzes jednak, pomimo wszystkich wysiłków profesora, nawet tej metody poglądowej niewiele rozumie: „Za 19-ej dynastyi — powiada Pentuer — Egipt miał pod bronią sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Gdyby za sprawą bogów, każdy ówczesny żołnierz zamienił się w kamyk wielkości winnego grona...

— Tę być nie może — szepnął Ramzes.“

Tu nareszcie widzimy, że mamy do czynienia z istotnym sceptykiem. I dlatego Pentuer ze zwykłą swą anielską pogodą poprawia się:

„Albo lepiej, gdyby każdy żołnierz położył na ziemi jeden kamyk, byłoby sto osiemdziesiąt tysięcy kamyków i spojrzyjcie, dostojni ojcowie, kamyki te zajęłyby tyle miejsca...“ Wskazał ręką czerwonawej barwy prostokąt, który leżał na dziedzińcu. I dziwcie się potem, że tego rodzaju rachunki wyrwały okrzyk podziwu największemu matematykowi świątyni, Hatorowi! I wszystko w tym guście. Nie chcemy tu szykanować autora dla drobnostek, ale niepodobna, aby nawet w XI wieku przed Chrystusem następca tronu, dwudziestokilkoletni młodzieniec, wychowany w szkołach kapłańskich, nie wiedział, iż woda zamienia się w lód.

Matka Ramzesa wywołuje reminiscencye o pani Latter. I ona ma kłopoty pieniężne, które nie pozwalają jej wyrwać syna z ambarasu, co wyraża się w sposób prawie identyczny. „Szczerze chciałbym ci pomódz, ale nie mam.“ I ona spogląda pobłażliwem okiem na grzeszki Ramzesa. „Jesteś już mężczyzną!„ („Tak, on jest już mężczyzną!“ — mówi pani Latter) itd.

*) Które nb. nawet obecni przy tem Azyaci potwierdzają.

Wreszcie Dagon nietylko postępowaniem, ale często wyrażeniami przypomina Zgierskiego. Prosi on Sary, zupełnie jak Zgierski Madzi, aby „o nim dobrze myślała i niekiedy powiedziała Ramzesowi (Solskiemu), że Dagon jest najwierniejszym jego sługą.“

Moglibyśmy listę tych reminiscencyj przeciągnąć do końca, ale i te przykłady dostatecznie pokazują, iż mamy do czynienia nie z Egipcyanami, lecz z przebranymi Warszawiakami. Przy takich warunkach wszelka iluzya — ten cel ostateczny powieści historycznej — pierzcha i umysł ironicznie odrazu nastrojony, ani na chwilę przedmiotowi poddać się nie chce.

Prus chciał dotknąć sztuki w wielkim stylu, ale, niestety, nie policzył się z warunkami swego talentu, który jest jednym z najdrowszych, jakie znamy, ale o granicach ściśle określonych. Wszystko, co jest rubaszne, gburowate, brutalne, ale za to jędrne, świeże, czerstwe, nawet energiczne, a może i potężne, nie mówiąc już o humorystycznem i czułem, wchodzi w jego zakresy. Ale za to wszystko, co jest wyrafinowane, fantastyczne lub filozoficzne, wszystko, co wychodzi za granice wizyi bezpośredniej i wymaga wyższej imaginacyi twórczej, jest mu niedostępne. Otóż on, jak na złość, nie liczy się z naturą swego talentu i zabiera się do rzeczy, które muszą być słabe, nudne, zapożyczone.

Aby dać wizyę należytą starożytnego Egiptu, trzeba mieć co najmniej wyobraźnię Słowackiego, inaczej jest wprost świętokradztwem poruszać te szanowne cienie i niepokoić ich pozy hieratyczne. Nawet przedstawiając Faraona, Prus wyzbyć się nie może swej rubaszności.

„Tymczasem moje dochody — mówił Faraon — od początku panowania zmniejszyły się do połowy, szczególnie w Dolnym Egipcie. Pytam się: co to znaczy?.. Odpowiadają: lud zubożał, ubyło wielu mieszkańców, morze zasypało pewną przestrzeń gruntów od północy, a pustynia od wschodu, było kilka lat nieurodzajnych, słowem *awantura za awanturą* (sic!), a w skarbie coraz płycej...“

Ten język knajpiarski akurat tyle przypomina władców Egiptu, co Leonard XXIII z Mascotty przypomina włoskich tyranów z Odrodzenia. A ci kapłani egipscy! Są właśnie takimi, jakimi Prus przy swej wyobraźni musiał ich zrozumieć. Gromada blagierów i szarlatanów. Oto przykład:

„W tej chwili arcykapłan Mofres wziął do ręki wielką łyżkę i, zaczerpnąwszy z kotła gorącej smoły, rzekł podniesionym głosem:

— Tak niech ginie każdy zdrajca świętych tajemnic!..

To powiedziawszy, wlał smołę w otwór posadzki, a z pod ziemi odezwał się ryk...“

Męczeństwo to kończy się szopką iście Prusowską. Ta tragiczna ofiara okrutności kapłanów, jest sobie bardzo tłustym i zadowolonym żebrakiem, który obejrzawszy się, czy go kto nie podsłuchuje, powiada:

„Mam wielce żałosny głos, więc jestem przy tej świątyni męczennikiem. Gdy lud zejdzie się na nabożeństwo, ja włażę do lochu i jęczę, ile mi sił starczy; za co dają mi wcale obfite jedzenie przez cały rok, a dzban piwa za każdy dzień męczeństwa.“

Dobroć autora obrażałaby prawda takiego męczeństwa, jak obraża Ramzesowską. Ale to nie była wcale epoka słabonerwnych dyletantów, którzy zadawalają się blagą. Autor przemazał tu rys, który mógłby nam dać dreszcz tragiczny, jaki przeczuwamy w tajemniczych pozach posągów egipskich, a przeciągnął natomiast linię komiczną. I to wszędzie, gdzie tylko sposobność mu się nadarzyła. Ten „Faraon“ jest w znacznym stopniu offenbachiadą i bardzo często przypomina „Piękną Helenę.“ (D. n.).

Dr. L. W.

SPRAWY EKONOMICZNE

OCHRONA LASÓW.

Przed czterema laty miałem zaszczyt wystąpić w sekcyi rolnej z wnioskiem zadrzewiania wszelkich nieużytków i miejsc pustych, za pomocą odpowiedniej organizacyi i nagród. Ponieważ wtedy żadne „niebezpieczeństwo“ jeszcze nie groziło, więc wniosek mój pozostał bez echa. Dopiero dziś, gdy to „niebezpieczeństwo“ w postaci prawnej ochrony lasów zbliża się do nas i ma ogarnąć Królestwo Polskie, właściciele interesowani przerazili się i za pośrednictwem sekcyi usiłują czynić zabiegi forsowne i pośpieszne. Czy one będą miały jakie znaczenie i skutek, jak wogóle wszelka robota pośpieszna, nie chcemy sądzić. To tylko wiemy, że obecnie w petersburgu odbywają się narady nad reformą ustawy, dotyczącej ochrony lasów, a zarazem nad wprowadzeniem jej i u nas. Alarm wywołał p. W. Jelski na posiedzeniu majowem; a ponieważ nie było czasu na gruntowne i obszerne opracowanie motywów, więc jego notatka, nieco uzupełniona pośpiesznie przez delegacyę specyalną, ma rozstrzygnąć losy naszej gospodarki leśnej.

W taki sposób u nas są przeprowadzane doniosłe reformy ekonomiczne. Gdzieindziej przedsięwzięcia podobne pochłaniają co najmniej miesiące pracy mozolnej i gruntownej; dlatego głosy rzeczoznawców, poparte motywami źródłowymi, mają siłę przekonywającą i wagę rzeczywistą na szalach reform prawodawczych. My trzymamy się innej zasady i wierzymy, że luźna notatka, przesłana do sfer decydujących, będzie miała takie same znaczenie, jak mozolna i rzetelna praca wielu ludzi, zamknięta w poważnym memoryale, charakteryzującym warunki i potrzeby kraju.

W chwili, gdy nasi inicyatorowie liczą na cudowność swych argumentów, zebranych w garści frazesów i kilku cyfrach luźnych, warto przyjrzeć się warunkom istnienia naszych lasów i motywom, usiłującym odeprzeć ochronę prawną. P. Skarzyński w *Słowie* tak deklamuje: „Rozumiem, że państwo ma prawo żądać największego poświęcenia praw indywidualnych, gdy powołuje każdego obywatela, aby opuszczając rodzinę, szedł bronić ojczyzny i za nią życie położył; ale nie wiem, jak dałoby się uzasadnić wyzucie tego samego obywatela z praw nabytych do swobodnego rozporządzania swą własnością, wystawienie go na konflikt z tymi, którzy od niego nabyli część własności w formie lasu, zachwianie jego wypłacalności wobec wierzycieli, wykierowanie go na bankruta, skazanie na najstraszniejsze zawody. I to wszystko dlatego tylko, żeby utrzymać w całości bogactwo narodowe lub ze względów użyteczności ogólnych, bez najmniejszej indemnizacyi za zabrane prawa, z ironiczną i iluzoryjną (?) pociechą, że wywłaszczony, jako stanowiący jednostkę w społeczeństwie, korzystać będzie z dobrodziejstw prawa w odpowiedniej części.“

Rozumiemy wybornie te żale. Cóż jednak począć na to, że czasem swobodne rozporządzanie własnością jednostki prawo musi skrępować na rzecz dobra ogólnego. Nasi ziemianie chyba najwięcej

skorzystali z tych pr w rozporządzania własnością, bo w znacznej mierze wyzuli się z niej zupełnie, stracili ziemię i zniszczyli lasy z dotkliwą szkodą dla całego kraju. Gdyby np. jakiemu ziemianinowi przyszła fantazya urządzić hodowlę szarańczy w swoim majątku, prawo musiałoby nietylko skrępować pod tym względem swobodę rozporządzania własnością, ale nawet surowo ukarać właściciela, bo taka swoboda przyniosłaby szkodę ekonomiczną całemu krajowi. Niszczenie lasów prywatnych także przynosi szkodę publiczną, więc ochrona prawna musi istnieć. Chodzi tylko o to, ażeby nie była krańcową, żeby zabezpieczając tę ważną część bogactwa naturalnego, jednocześnie pozwalała szafować niem rozumnie i oględnie. Tymczasem interesowani żądają *zupełnego* pominięcia Królestwa przez to prawo. Żądanie nie ma podstaw; ale pomimo to niepodobna zachowywać się biernie i czekać, aż przepisy wejdą w życie w całej rozciągłości, bez względu, że znaczna ich część niezgodna byłaby z warunkami ekonomicznymi i kulturalnymi kraju naszego.

W wielu miejscowościach Cesarstwa prawo ochronne istnieje już od r. 1888 i oto praktyka wykazała, że nie wszędzie jednolitość jego jest pożyteczną, że nadto stało się ono obosiecznem, gdyż pomimo zaopatrzenia wykonawców w wielką moc formalistyki, posiada furtki i dróżki przeróżne, które ludziom zręcznym i sprytnym pozwalają wybiegać po za mury prawa, obchodzić je i z większą jeszcze gwałtownością niszczyć lasy.

Otóż w takiej postaci ochrona nie pożytek, lecz szkodę przynosi. Z jednej strony bowiem zupełnie zamyka możność eksploatacyi lasów, paraliżuje ruch handlowo-przemysłowy i naraża posiadaczów na znaczne straty materyalne; z drugiej — uwzględnia „wyjątkowe wypadki,“ których sprytne wyzyskanie grozi zupełnem wycięciem lasu.

Jeżeli te wszystkie okoliczności i błędy dotychczasowe będą rozważone obecnie w Petersburgu przy naradach nad reformą, można mieć nadzieję, że prawo obecnie obowiązujące ulegnie znacznym zmianom, z większem uwzględnieniem potrzeb rzeczywistych. Z zarzutów i wskazówek zasadniczych zasługuje na uwagę pięć zestawionych przez p. Jelskiego. 1) „Nie tyle przynosi szkody bogactwu krajowemu ta ręka, która las w nadmiarze tnie, ile ta, ktora go nie sadzi na miejscu wyciętego.“ Prawo tedy powinno bardziej nakazywać sadzenie, niż krępować swobodę cięcia. 2) Wszędzie, gdzie prawo ochronne wprowadzono, zmniejszyła się wartość sprzedażna majątków. 3) Ponieważ rozpadanie się własności większej na cząstki coraz mniejsze jest już koniecznością ekonomiczną chwili obecnej, więc ochrona leśna krępuje działkowanie. 4) W wielu miejscach, gdzie prawo wprowadzono, właściciele skarżą się na przykre stosunki z komitetami, co zniechęca do powiększania przestrzeni leśnych. 5) Myśl prawa powstała wtedy, gdy ceny na drzewo były znacznie niższe, niżeli dzisiaj, a przeważnie zboże zapewniało dochód większy. Wówczas o wiele korzystniej było przestrzeń wyciętą zamienić na pole. Prawo, jak rzekliśmy, jest jednolite, bez względu na warunki różnorodne. Tak np. p. Jelski dzieli kwestyę leśną pod względem ekonomicznym na trzy fazy: 1) Syberya, gdzie eksploatacya jeszcze się nie opłaca, bo las nie ma wartości. Prawo ochronne jest tam przedwczesne. 2) Cesarstwo w przeważnej części. Tam eksploatacya już daje dochód, lecz sadzenie nie przynosi korzyści na razie, głównie dlatego, że las młody małą ma wartość. Prawo przychodzi tam w samą porę i powstrzymuje gospodarkę nieoględną. 3) Królestwo Polskie, w ktorem eksploatacya daje znaczny dochód. Sadzenie tedy jest dobrym interesem, więc prawo ochronne w zupełności lub w znacznej mierze dałoby się zastąpić zachętą państwową do sadzenia lasów.

Istotnie, prawo zastosowane w Cesarstwie bez zmiany, nie miałoby u nas racyi bytu, gdyż właściwie nie mamy już czego ochraniać. Chłop mówi, że posiada mórg *boru*. Z dawnych więc dużych lasów pozostał tylko ten wyraz: *bór* w mowie ludowej pokutuje, jako tradycya dawnego bogactwa i — ironia obecnego stanu rzeczy. Takich „borów“ jest dużo nietylko w posiadaniu chłopów, lecz i większych właścicieli ziemskich. Lasy w Królestwie gwałtownie znikają, a gorączka wycinania widocznie wzrosła w okresie oczekiwania ochrony leśnej. Pomimo tedy protestu interesowanych, potrzebne tu są pewne przepisy, krępujące gospodarkę rabunkową; obok zaś tego jakaś zorganizowana zachęta do zadrzewiania przestrzeni pustych.

Taka zachęta, acz w słabym stopniu, istnieje w niektórych miejscowościach Cesarstwa, stworzona przez ziemstwa. Berdjańskie jeszcze w r. 1877 ustanowiło trzy premia coroczne po 200, 300 i 500 rs. za umiejętne zadrzewianie gruntów i hodowlę lasów na nich. W r. 1884 postanowiono po raz pierwszy wydać owe nagrody. Ziemstwo czernihowskie r. 1883, a horodnickie 1884 postanowiły wydawać za każdą dziesięcinę piasków lotnych zadrzewionych tudzież umocowanych wierzbą, po 10 rs. Ziemstwo perekopskie r. 1884 wyznaczyło premia na zalesienie najmniej pięciu dziesięcin. Dnieprzańskie zebranie ziemskie w r. 1887 poruczyło zarządowi opracowanie zasady utworzenia funduszu dla wydawania niewielkich nagród pieniężnych za zadrzewianie gruntów przez włościan. Inne postanowiły popierać hodowlę lasów za pomocą urządzania szkółek drzewnych i rozdawania sadzonek. Berdjańskie ze swej szkółki wydaje bezpłatnie setki tysięcy sadzonek *).

Królestwo Polskie w innych warunkach kulturalnych i ekonomicznych, wymaga może nieco odmiennej zasady zorganizowania takiej zachęty. P. Jelski podał je w następującym zarysie: Wszystkich lasów u nas jest 2,324,000 dziesięcin, w tem należących do właścicieli większych i mniejszych, tudzież włościan 71%, czyli 1,650,040 dziesięcin. albo 3,195,000 morgów. Potrącając z tego lasy małej własności, włościańskie i należące do ordynacyi (ta trzecia kategorya prawem zupełnie zabezpieczona), otrzymamy według obliczeń powyższego autora przeszło 2,500,000 morgów, które obejmie ochrona prawna. Przestrzeń ta, przy prawidłowem użytkowaniu w 80-letniej kolei daje roczną porębę 31,000 morgów. Koszt sadzenia lasów w zwykłych warunkach waha się od 3 do 5 rs. za mórg, a więc, zdaniem p. Jelskiego, premium, wynoszące 3 rs. za mórg, jest wystarczającem dla pokrycia całych lub prawie całych kosztów sadzenia. Tą drogą otrzymamy sumę 100,000 rs., potrzebną co roku dla premiowania tych wszystkich, którzyby sadzili las w ilości poręby rocznej. Wogóle p. Jelski uważa, że projekt jego tem większe będzie miał szanse zastosowania praktycznego, gdy suma nagród nie przewyższy tej, którą rząd musiałby wydać na projektowane komitety leśne. Projektodawca oblicza, że nie może być mniej tych komitetów, niż jeden na dwie gubernie, a więc utrzymanie pięciu biur wraz z urzędnikami, geometrami i zwiększonym na gruncie dozorem, może pochłonąć sumę powyższą.

Słuszną jest uwaga p. Jelskiego, że samo premia wszystkiego zdziałać nie mogą, że niezbędną jest rzeczą uwolnić zagajniki do lat 20-tu od podatków państwowych. (Wiemy, że w Cesarstwie grunty sztucznie zadrzewione uwolniono w wielu miejscach od poborów ziemskich; nadto ziemstwa poczyniły starania o uwolnienie tych obszarów od podatków państwowych; więc to, co p. Jelski zaznacza w formie przypuszczenia, ma już realne podstawy). Pożądane jest także przedłużenie zakazu pasania w lasach, gdzie się prowadzi gospodarstwo leśne pod serwitutami pastwiskowemi. Termin najmniejszy, zdaniem p. Jelskiego, powinien wynosić 20 lat. Wreszcie trzeba, ażeby leśnictwa rządowe prowadziły szkółki i sprzedawały sadzonki po cenie kosztu.

Uważałbym, że niezbędne są jeszcze dwa środki, których skuteczność nie zależy od zarządzeń miejscowych, lecz od głównego steru ochrony lasów. Przedewszystkiem należałoby rozwinąć wszelkie starania, które uprzystępniłyby masom ludności opał niedrzewny. Następnie trzeba zrównoważyć zaopatrywanie wielkich bezleśnych obszarów państwa w gruby materyał budulcowy ze stron lesistych. Dziś środki komunikacyjne szybko się rozwijają. Ruch pasażerski np. na kolei Zachodnio-Syberyjskiej otwarto już do Kaińska, o wiorst 800 od Irkucka, pociągi zaś robocze dochodzą do Wierchnie-Udińska (500 wiorst od Irkucka). Koleje zatem docierają do najbogatszych lasów dziewiczych. Otóż gdyby wprowadzono odpowiedni do potrzeb system taryfowy, ułatwiający dostawę drzewa do miejscowości bezleśnych, mielibyśmy z czasem wyborny materyał budulcowy z Syberyi stosunkowo nawet tańszy, niż u nas, wycięty na miejscu. Oczywiście i na Syberyi, skutkiem wzmożonego zapotrzebowania, należałoby odrazu wprowadzić cięcie racyonalne. Tym sposobem po latach kilkudziesięciu, bez szkody wielkiej dla lasów dziewiczych na dalekim Wschodzie i Północy, rozwinęłyby się i umocniły u nas lasy, które przy tem można byłoby eksploatować przez ten czas oględnie, z zyskiem na potrzeby miejscowe, mianowicie materyał cieńszy, niezbędny w dość znacznej ilości dla naszych gospodarstw. Są np. w Królestwie Polskiem miejscowości, gdzie las niskopienny w kilkunastoletniej kolei cięcia przynosi właścicielowi po 100 rs. zysku z morga, jako chrust.

Zen. Piet.

W DALI.

Kalisz. Pomimo krótkiego, bo zaledwie czteroletniego okresu istnienia, kasa przemysłowców miejscowych rozwinęła się bardzo pomyślnie. Liczy ona obecnie już 1.083 uczestników, których udziały w r. z. wynosiły rs. 15,521; procenty od pożyczek i różnych obrotów kasy — rs. 22,479, zysk czysty rs. 6,034, dywidenda od udziałów rs. 1,195, kapitał rezerwowy rs. 4,961, obrót gotowizną 2,801,041. Pożyczek wydano rs. 925,834, z tych spłacono rs. 834,277. Dodajmy, że spłatę pożyczek miesięcznie i tygodniowo ze wszystkich tej kategoryi instytucyj finansowych w kraju wprowadziła jedyna kasa pożyczkowa przemysłowców kaliskich. Zebranie ogólne postanowiło rs. 1,195 wyznaczyć na dywidendę uczestnikom kasy w stosunku 10% od udziałów. Nadto, postanowiono zmianę oprocentowania kapitałów, składanych „na lokacyę“ mianowicie od sum składanych na każde żądanie 3½% za trzymiesięcznem wypowiedzeniem 5%; lokacyę za 7-dniowem wypowiedzeniem zupełnie zniesiono. Pomyślano wreszcie o przyszłości pracowników kasy, tj. stworzono kasę przezorności na wzór istniejącej przy kasie przemysłowców warszawskich, z tą wszakże zmianą, iż każdy pracownik płacić będzie od swej pensyi i wszelkich wynagrodzeń 5%, nadto pewne odsetki będzie dodawała od siebie kasa pożyczkowa.

Wilno. Na wystawie tegorocznej inwentarz zajął najpokaźniejsze miejsce. Piękne konie wła-

---

*) Abramow: „Co zrobiło i co robi ziemstwo.“

snego chowu wystawił p. Korybut-Daszkiewicz. Klacz i ogiery angielskie wystawił Michał hr. Tyszkiewicz. Dział nierogacizny również wybitne miejsce zajął (niemal wyłącznie yorkschiry). W dziale bydła przeważała rasa holenderska. Reprezentowane zaś były przeważnie obory wielkich magnatów. Zwróciła uwagę wystawa warsztatów i wyrobów tkackich p. Józefa Montwiłła. Były tam ule, miód, wosk, płótno w sztukach, portyery, fartuchy itd. Wyroby stolarskie i ślusarskie wystawiono w oddziale robót aresztanckich i instytucyj dobroczynnych. Między innymi wyróżniły się wyroby koszykarskie hr. Platerowej (po za konkursem). Wystawa zakładu technicznego p. Januszewskiego obejmowała studnie artezyjskie. — Na placu Katedralnym odbył się zwykły jarmark Świętojerski. Przybyszów niewielu — z Warszawy i Moskwy. Przeważnie zaś wilnianie. Jest to szczątkowa postać handlu, niezgodna z potrzebami dzisiejszemi. Dlatego też jarmark wileński, bezładny, ze swojemi budami, w których na pewien czas umieścili się kupcy ze sklepów wygodnych — jest osobliwością, jako znamienny tradycyjny obraz przeszłości w warunkach obecnych.

Kijów. Wielkie i powszechne zainteresowanie budzi sprawa kursów handlowych, poruszona przez miejscowe zgromadzenie kupców. Kursy te już zatwierdził p. minister skarbu. W program ich wchodzą: religia, język rosyjski, arytmetyka handlowa, buchhalterya, korespondencya i kaligrafia. Wykłady odbywać się mogą w godzinach rannych i poobiednich, tudzież w niedziele i święta. Uczniowie nie są obowiązani uczęszczać na wszystkie wykłady, lecz mogą słuchać tylko niektórych, według wyboru. Kandydaci, wstępujący na kursy, powinni złożyć świadectwo ukończenia szkoły elementarnej lub też zdać egzamin. Do klas przygotowawczych przyjmowani są i analfabeci. Kurs każdego przedmiotu jest najwyżej dwuletni. Uczniowie, którzy zdali egzamin z religii, języka rosyjskiego i arytmetyki handlowej, otrzymają świadectwa; co zaś do służby wojskowej, mają prawo kategoryi czwartej. Ci, którzy zdadzą egzamin z jednego tylko przedmiotu, otrzymają świadectwa specyalne. Kursy utrzymywane są: z zasiłku, udzielanego przez kijowskie Towarzystwo krzewienia nauk handlowych; z ofiar osób prywatnych i innych Towarzystw; z zapomóg, udzielanych przez kijowską radę miejską i inne instytucye rządowe, wreszcie z opłaty szkolnej, pobieranej od uczniów. Kierunek zwierzchni obejmuje miejscowe Towarzystwo krzewienia nauk handlowych.

Wizerunki Mickiewicza

Szanowny Redaktorze!

Poszukując oddawna wizerunków Adama Mickiewicza, zgromadziłem znaczny w przedmiocie tym materyał. Posłużył on mi do napisania monografii o samej tylko postaci wielkiego poety, o jego zewnętrznej i duchowej fizyognomii, którą można badać długo z upodobaniem prawdziwem.

Zajęcie to pozwoliło mi odnaleźć i ugrupować autentyczne portrety wieszcza, ustalić i usprawiedliwić jego wygląd w różnych epokach życia. Rezultaty tych poszukiwań w formie rozpraw i luźnych artykułów ogłaszałem, począwszy od r. 1888, w czasopismach warszawskich i galicyjskich, zaś w *Kłosach* (1889 r.) i w *Pamiętniku Towarzystwa literackiego imienia A. Mickiewicza* we Lwowie podałem szczegółowy katalog kilkuset wizerunków wieszcza.

Monografie, traktujące o wizerunkach poetów, są znane w literaturze zagranicznej. O wizerunkach np. Shakespeare'a i o jego charakterystyce zewnętrznej istnieje 44 dzieł angielskich, a między niemi znaczna ilość wydanych kosztownie i z licznymi rysunkami. O wizerunkach Goethego są dwa piękne dzieła niemieckie; o Molierze wydał Paweł Lacroix (znakomity bibliofil Jacob) dzieło obszerne p. t. „Iconographie Molieresque"; o Mozarcie jest też bardzo zajmująca rozprawa, a p. Zygmunt Librowicz ogłosił przed kilku laty w języku rosyjskim książkę p. t. „Puszkin w portretach."

Dzieła te, traktujące przedmiot poważnie i opracowane po większej części z niezwykłą sumiennością, obok wielu korzyści, które wnoszą do literatury, są też dowodem czci, oddawanej geniuszom.

Brak tego rodzaju książki w literaturze polskiej zamierzam, wedle sił i możności, uzupełnić w roku jubileuszowym skromną pracą moją, chciałbym zaś ją i katalog wizerunków jaknajdokładniejszym uczynić. Zwracam się przeto, za łaskawem pośrednictwem *Prawdy*, do czytającego ogółu o poparcie moich usiłowań. Każdą wiadomość o biuście, posążku, medalionie, medalu, portrecie olejnym, akwarelowym, rysunkowym, sztychu, drzeworycie, litografii Adama Mickiewicza przyjmę z wdzięcznością, gdyż posłużyć mi ona może do sprawdzenia lub dopełnienia istniejących w zbiorze moim i katalogu okazów.

Wiadomość przesłać można wprost do redakcyi *Prawdy* lub też pod adresem moim w Warszawie (Włodzimierska, nr. 6).

Upraszając Szan. Redakcyę o łaskawe pomieszczenie niniejszej odezwy, załączam słowa prawdziwego poważania.

Leopold Méyet.

Na pomnik Mickiewicza:

W gronie redakcyjnem *Prawdy:* A. S. rs. 50, S. K. rs. 6, Z. P. rs. 10, L. M. rs. 50. A. B. rs. 50.

Pracownicy przy budowie kolei w Waldaju rs. 110.

Kazimierz Marcinkiewicz z Borysławia rs. 5.

Czytelnia polska akademicka z Bernu rs. 3.

Razem: rs. 284 odesłano do kasy komitetu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Do opłaty podatku szpitalnego postanowiono w r. b. pociągnąć wszystkie osoby pracujące w biurach rządowych i prywatnych na zasadzie wolnego najmu.

— Zgromadzenie kupców lubelskich na ostatniem posiedzeniu przeznaczyło pomiędzy innemi 250 rs. na budowę domu dla sierot.

— Kapitał Towarzystwa wolno-ekonomicznego w Petersburgu na nagrodę za dzieło „Historya uwłaszczenia włościan" (termin 1911 r.), wynosi obecnie 6,000 rs.

— Przed kilku miesiącami płynęły obficie ofiary w naturze na głodnych w Indyach. W tych dniach lekarze specyalnie wyznaczeni rewidowali składy kolei Południowo-Zachodniej i sprawdzili, że pieczywo już zgniło i musi być zniszczone; suchary mogą się przydać jedynie na kwas. (*Birż. Wied.*).

— Staraniem kuratoryi głównego domu Schronienia starców i kalek starozakonnych (przy ulicy Wolskiej w Warszawie) wkrótce otwarty będzie przy tym zakładzie oddzielny przytułek dla idyotów. Na początek pomieści 300 pesyonarzów płci obojej.

— We Lwowie otwarto kliniki profesorów Gluzińskiego i Rydygiera. Pierwszy z nich ogłosił wykład wstępny „O metodach w dyagnostyce," drugi — „O rozwoju chirurgii tudzież o chirurgii w Polsce."

— Herbaciarnie i garkuchnie, otwierane w celu zachęty ludu do trzeźwości, zwolniono od uiszczania opłat handlowych i uznano za instytucye dobroczynne.

— Za zgodą rady wojskowej postanowiono, że szkody, zrządzone przez wojsko podczas manewrów w razie stratowania pól, będą przyjmowane na rachunek skarbu, po sprawdzeniu przez władzę konieczności stratowania i oszacowania szkód przez komisyę.

— W Balwierzyszkach, gub. Suwalskiej, otwarto kasę oszczędności pocztowo-telegraficzną.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić na osiem miesięcy wydawnictwo gazety *Sibirskij Wiestnik.*

Skarga. W niektórych domach warszawskich lista lokatorów prowadzona jest wyłącznie w języku urzędowym. Otóż *Kuryer Warszawski* zaznacza, iż mieszkańcom tych domów wiele zależy na wyraźnem i dostępnem dla wszystkich wymienieniu ich nazwisk na liście. „Rządców nic jednak nie obchodzi wygoda publiczna, pomimo iż przepisy policyjne wyraźnie nakazują, aby listy były wypisywane w dwu językach."

Szkoły. Na wniosek kuratora okręgu naukowego kijowskiego, ministeryum oświaty pozwoliło przyjmować do zakładów naukowych średnich i wyższych dzieci, których rodzice sprzedają trunki w składach skarbowych.

— Katedrę anatomii patologicznej w uniwersytecie warszawskim ma objąć profesor tegoż uniwersytetu, dr. E. Przewoski. (*Warsz. Dn.*).

— Przełożona kursów handlowych dla kobiet w Warszawie, p. Siemiradzka, otrzymała od ministeryum skarbu pozwolenie na otwarcie klasy przygotowawczej, do której przyjmowane będą panny w wieku lat 15, posiadające wykształcenie w zakresie czterech klas. Wykładane będą: arytmetyka, algebra, historya naturalna, geografia, kaligrafia, oraz języki: rosyjski, polski, niemiecki i francuski.

— W Warszawie powstaje szkoła dentystyczna wyłącznie dla kobiet, pod kierunkiem p. Wandy Mierkowskiej, lekarki-dentystki.

— Ministeryum rolnictwa utworzy stypendya dla słuchaczów wydziałów przyrodniczych we wszystkich uniwersytetach, z zastrzeżeniem, ażeby korzystający z tych zapomóg po ukończeniu kursów zajmowali posady w dziedzinach, podlegających owemu ministeryum.

Teatr. Zaproszono p. Myszugę na kilka występów w teatrze Wielkim.

— Teatrzyki ogródkowe w Warszawie są już czynne. W Wodewilu osiadł p. Michał Wołowski z Łodzi, w „Odeonie" (po Belle-vue) pod dyrekcyą p. Feliksa Kwaśniewskiego występuje trupa poznańska, w cyrku zimowym osiadła operetka lwowska, wreszcie w Eldorado i Bagateli występuje trupa p. Dobrzańskiego.

Konkursy. Wynik konkursu, ogłoszonego przez Towarzystwo ogrodnicze na napisanie broszury popularnej dla włościan o uprawie warzyw, jest następujący: nagrody pierwszej nikt nie dostał; drugą przyznano pracy z godłem „Piast." Wymaga ona pewnych poprawek według wskazówek sędziów i rzeczoznawców. Autorką jest p. Karczewska, współpracowniczka *Ogrodnika Polskiego*.

— Dla uczczenia przypadającej d. 4 b. m. 25-ej rocznicy śmierci Moniuszki, warszawskie Towarzystwo muzyczne ogłasza konkurs na mszę żałobną do tekstu łacińskiego. Msza (*Requiem*) ma być napisana na cztery głosy mieszane, z towarzyszeniem organów, niezbyt trudna do wykonania, w stylu poważnym. Termin upływa 1 grudnia r. b. Nagroda rs. 150. Inne kompozycye mogą być odznaczone wzmiankami zaszczytnemi.

Koleje i komunikacye. Departament kolejowy rozesłał okólnik do naczelników kolei skarbowych, ażeby stosowali taryfę „szczególnie zniżoną" do wszystkich posyłek, obejmujących druki (książki, gazety, cenniki, etykiety).

— Skup kolei Nadwiślańskiej na rzecz skarbu odroczono do 13 września r. b.

— Według doniesienia dzienników, inżenierowie zakładu mechanicznego „Five Lille" w Lille zajęci są budową promu elektrycznego, przeznaczonego do przewożenia całych pociągów z brzegów francuskich do angielskich i z powrotem. Jeżeli to nie jest zręczne przez dzienniki puszczona reklama dla zakładu, będzie to istotnie dzieło niepospolite.

— Od d. 13 września czynne linie kolei Syberyjskiej włączone będą do związku międzynarodowego w zakresie przewozu towarów.

— Ministeryum komunikacyj zwołuje zjazd przedstawicieli kolei podjazdowych dla opracowania taryf odpowiednich.

Sądy. W Białymstoku Izba sądowa wileńska rozstrzygnęła sprawę rozbicia się pociągu pod Kuźnicą na kolei Petersbursko-Warszawskiej. Uniewinniono naczelnika stacyi, p. Butkiewicza; telegrafistkę Andrejewową skazano na rok więzienia.

Dobroczynność. Przy głównym domu schronienia starców i sierot chłopców żydowskich za rogatkami Wolskiemi świeżo otworzono pierwszy przytułek dla sierot dziewcząt, z dobrowolnych składek współwyznawców.

Wystawy i zjazdy. W r. b. odbędzie się w Petersburgu wystawa tytuniowa z inicyatywy fabrykantów, oraz zjazd piwowarów.

Katastrofy. D. 27 maja na stacyi Małachowo kolei Syzrańsko-Wiaziemskiej spotkały się pociągi towarowe. Zabity nadkonduktor.

Zmarli. Sergiusz Muchanow, b. prezes teatrów warszawskich.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Tad. Sk. Wiersze Pańskie mają formę dobrą, miejscami kunsztowną, ale w treści są puste. Oprócz wykrzyków, chęci wysokich wzlotów i nieusprawiedliwionych skarg, nic więcej w nich nie ma. Obrazek prozą zbyt powszedni w pomyśle a jaskrawy w wykonaniu.

N. Rymy stanowią najpodrzędniejszy pierwiastek poezyi, a wiersze Pańskie są tylko rymy.

Panu L. F. w Łodzi. Nie traćmy nadziei. Może z czasem poczucie zerwania stosunków z prześladowcami przesiąknie z piór dziennikarskich do serc i kieszeni. Wtedy owe pisma, które w tekście nawołują do unikania „badów" niemieckich, nie będą w ogłoszeniach zamieszczały ich czułych odezw. Dziś jeszcze pióra skrzypią co innego, a kieszeń szepce co innego.

Panu Konradowi J. w K. Litwini wraz ze Żmudzinami i Łotyszami stanowią osobną grupę litewską, spokrewnioną ze Słowianami, z którymi tworzą litewsko-słowiańską gałąź szczepu indeuropejskiego. Właśnie te plemiona słowiańsko-litewskie mieszkały w Prusiech przed przybyciem Krzyżaków.

M. S. Na wszystkie pytania Pańskie musimy odpowiedzieć przecząco.

Panu W. J. w Ł. Niech Pan nam pozwoli mieć w tej sprawie takie zdanie, jakie wypowiedzieliśmy, tem bardziej, że, o ile wiemy, jest Pan jedynym, który w tym dokumencie dojrzał skromność. Nie mamy przytem, że kilka objaśnień, których tu dawać nie będziemy, odwiodłoby Pana od tego przekonania.

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim, w ostatnim wierszu „Liberum veto," zamiast *nazwy*, winno być *natury*.

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Мая 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.